

Dorothy Leigh

Sayers

Kat poszedł na

urlop

Przełożył z angielskiego
Robert Stiller

Iskry - Warszawa ■ 1987

Człowiek, który znał sposób

Chyba po raz dwudziesty, odkąd pociąg wyjechał z Carlisle, Pender, podnosząc oczy znad *Morderstwa na plebanii*, napotkał wzrok pasażera siedzącego naprzeciw.

Zmarszczył się z lekka. Irytowało go, że towarzysz podróży tak bacznie rnu się przygląda i do tego z ledwie dostrzegalnym, sardonicznym uśmieszkiem. Tym bardziej zaś irytowało go, że daje się tak wyprowadzać z równowagi tym uśmieszkiem i tym wpatrywaniem się. Znow się przymusił do lektury, z mocnym postanowieniem, że się skoncentruje na problemie zamordowanego w bibliotece proboszcza. Niestety była to fabuła z kategorii (tych akademickich, gdzie wszystkie co ciekawsze wydarzenia upchane są iw pierwszym rozdziale, a potem już tylko długa seria dedukcji prowadzi do 'naukowego rozwiązania w ostatnim. Wątpiła nic zainteresowania, z trudem wysnuta na kołowrotku rozumującego mózgu Pendera, urwała się. Dwa razy musiał się cofać dla sprawdzenia szczegółów, przeoczonych w lekturze. Wreszcie uświadomił sobie, że oczy jego przebrnęły bite trzy stronic wywodów, kompletnie nic nie przekazawszy do umysłu. W ogóle już nie myślał o zamordowanym proboszczu: za to coraz intensywniej uświadamiał sobie twarz pasażera z przeciwka. Co za dziwna twarz! pomyślał Pender.

W jej rysach nie było właściwie nic nadzwyczajnego; Pendera niepokoił jej wyraz. Była to twarz skryta, twarz kogoś wiedzącego mnóstwo rzeczy na czyjaś niekorzyść. Usta lekko skrzywione i silnie wgłębione w kącikach, jakby pełne tajonej satysfakcji. Oczy niesamowicie błyskały zza szkieł nieoprawnych binokli; ale to wrażenie mogło być spowodowane odbijaniem się światła. Pender zastanawiał się, kim ten człowiek może być z zawodu? Ubrany w ciemny garnitur, płaszcz od deszczu i sfatygowany miękki kapelusz, mógł mieć około czterdziestki.

Pender niepotrzebnie odchrząknął i usadowił się głębiej w rogu, unosząc kryminał na wysokość twarzy, jakby się nim odgradzał. Okazało się to gorzej niż bezużyteczne! Odniósł wrażenie, że mężczyzna przejrzał jego manewr i skrycie się nim ubawił. Chciało mu się pokręcić na siedzeniu, ale odczuł niejasno, że byłoby to swego rodzaju triumfem dla przeciwnika. Skrępowany tym, siedział tak sztywno, że skupienie uwagi na książce stało się fizyczną niemożliwością.

Pociąg miał się teraz zatrzymać dopiero w Rugby i nie było szansy, że jakiś pasażer wejdzie z korytarza i przerwie tę niemiłą *solitude a deux*. Coś jednak trzeba zrobić. Milczenie trwało już tak długo, że każda uwaga, choćby najbłahsza, rozległaby się — tak odczuwał to Pender — w napiętej atmosferze jak przeraźliwy terkot budzika. Oczywiście mógłby wyjść na korytarz i nie wrócić, ale w ten sposób przyznałby się do klęski. Opuściwszy w dół *Morderstwo na plebanii* Pender znow napotkał wzrok tego z przeciwka.

— Znudziło się panu? — spytał mężczyzna.

— Nocna podróż jest zawsze trochę nudna — odpowiedział Pender, trochę z ulgą, a trochę niechętnie. — Może pan ma ochotę poczytać?

Wyjął z teczki *Zdradziecki spinacz* i podał mu z nadzieją. Tamten spojrzął j na tytuł i potrząsnął głową.

— Bardzo panu dziękuję — odparł — ale nie czytuję kryminałów. One 1 są takie... nieadekwatne, nie uważa pan?

— Może brak im trochę rysunku charakterów i ludzkiego podejścia, owszem — przyznał Pender — ale do pociągu...

— Nie to miałem na myśli — rzekł tamten. — Ludzki aspekt zupełnie mnie nie obchodzi. Ale wszyscy ci mordercy są tacy nieudolni... mnie to po prostu nudzi.

— Och, czy ja wiem — rzekł Pender. — Jednak są na ogół sprytniejsi i o

wiele bardziej pomysłowi od morderców, jakich spotykamy w rzeczywistości.

— Od tych morderców, którzy zostają wykryci, owszem — zgodził się tamten.

— Nawet i ci sobie nieraz całkiem nieźle radzili, zanim ich złapano — sprzeciwił się Pender. — Na przykład Crippen: w ogóle by go nie złapali, gdyby nie to, że stracił głowę i uciekł do Ameryki. George Joseph Smith też załatwił co najmniej dwie narzeczone, zanim się w to wmieszały los i prasa brukowa.

— Owszem — rzekł tamten — ale jakież to było niezdarne: te zawile kombinacje, te kłamstwa, tyle różnych przyborów. Wszystko to niepotrzebne.

— Co też pan opowiada! — zaprotestował Pender. — Przecież nie spodziewa się pan, że można kogoś zamordować i wykręcić się z tego tak lekko, jakby groch wyłuskać.

— A! — powiedział pasażer. — Tak pan uważa?

Pender spodziewał się, że usłyszy coś więcej, ale się nie doczekał. Mężczyzna odchylił się na oparcie i siedział, uśmiechając się po swojemu do sufitu: jakby uznał, że nie warto już kontynuować rozmowy. Wzrok Pendera, gdy znów sięgał po książkę, przyciągnęły dłonie tego człowieka: białe i o zadziwiająco długich palcach. Patrzył, jak te palce postukują łagodnie o kolana — potem zdecydowanie odwrócił kartkę — a potem znów odłożył książkę i zagadnął:

— Jeśli to takie łatwe, to ciekawe, jak pan zabrałby się do popełnienia morderstwa?

- Ja? — odparł mężczyzna. Odblask na binoklach sprawił, że dla Pendera oczy jego były całkiem niewidoczne, ale w głosie dosłyszał lekkie rozbawienie. — Ja to co innego. Ja bym się w ogóle nie namyślał.

— Dlaczego?

— Bo ja akurat wiem, jak to zrobić.

— Czyżby? — mruknął wyzywająco Pender.

— Och, tak. Przecież to nic trudnego.

— Skąd ta pewność? Chyba pan nie próbował?

— Tu nie ma co próbować — odparł mężczyzna. — W mojej metodzie nie może być żadnych niespodzianek. Właśnie na tym polega jej wdzięk.

— To łatwo powiedzieć — odrzekł Pender. -- Na czymże polega ta cudowna metoda?

— Chyba" się pan nie spodziewa, że powiem? — odparł tamten, znów kierując spojrzenie na Pendera. — To mogłoby się okazać niebezpieczne. Wprawdzie wygląda pan nieszkodliwie, ale któż wyglądał bardziej nieszkodliwie niż Crippen? Nikomu nie można powierzyć *absolutnej* władzy nad życiem innych.

— Brednie! — zawołał Pender. — Mnie by do głowy nie przyszło, żeby kogoś mordować.

— Przyszłoby, jeszcze jak! — odpowiedział tamten. — Gdyby tylko pan naprawdę był przekonany, że to bezpieczne. Każdy by zrobił to samo. A po co te kolosalne, sztuczne przeszkody, jakimi morderstwo obudowane zostało przez Kościół i prawo? Ponieważ jest to zbrodnia dla każdego, powszechna i tak naturalna jak oddychanie.

— Ależ to śmieszne! — krzyknął gorączkując się Pender.

— Tak pan uważa? Większość ludzi tak by odpowiedziała. Ale ja nie polegałbym na tym. Biorąc pod uwagę, że siarczan tanatolu można kupić za dwa pensy w każdej aptece.

— Czego siarczan? — zapytał ostro Pender.

— A! pan myśli, że ja się wygadałem? No tak, trzeba mieszać to i jeszcze parę składników, a wszystkie równie pospolite i tanie. Za dziewięć pensów można wyprodukować tyle trucizny, że wystarczyłoby na wytrucie całej Rady Ministrów: a tego chyba nawet pan by nie uważał za zbrodnię? Ale oczywiście nie załatwiałyby się wszystkich naraz: mogłoby to dziwnie wyglądać, gdyby tak od jednego razu wszyscy padli trupem w kąpielu.

— A dlaczego w kąpielu?

— Bo tak właśnie by ich dopadło. Widzi pan, ten środek skutkuje pod działaniem gorącej wody. W okresie od paru godzin do kilku dni po zaaplikowaniu. Chodzi tu o bardzo prostą reakcję chemiczną, której analiza nie wykryje. Wygląda to po prostu na atak serca.

Pender wpatrywał się w niego niepewnie. Nie podobał mu się ten uśmiech, nie tylko wzdorczy, ale i zadowolony z siebie, pełen złośliwej satysfakcji i jakby triumfu. Nie potrafiłby go określić.

— A wie pan — ciągnął mężczyzna, z namysłem dobywając z kieszeni fajkę i biorąc się do jej nabijania — to dziwne, jak często się czyta, że kogoś znaleźli nieżywego w wannie. To musi być bardzo częsty przypadek. Aż pokusa ogarnia.

W końcu morderstwo ma w sobie coś urzekającego. To wciąga... wie pan, wyobrażam sobie, że musi wciągać.

— Chyba tak — odpowiedział Pender.

— Na przykład Palmer. Gesina Gottfried. Armstrong. Nie, ja bym tego sposobu nie powierzył nikomu... nawet takiemu cnotliwemu młodzieńcowi jak pan.

Długie białe palce zdecydowanie ubiły tytoń w fajce i pstryknęły zapalką.

— A co z panem? — zirytował się Pender. (Nikt nie lubi, żeby nazywać go cnotliwym młodzieńcem.) — Skoro już nie można polegać na nikim...

— To i na mnie też, co? — podchwycił mężczyzna. — Fakt, ale na to już nie ma rady, prawda? Znam ten sposób i nie mogę go z powrotem odeznać.

Niestety, ale tak już jest. Ma pan przynajmniej tę pociechę, że *mnie* się nie przykrego raczej nie zdarzy. O! już Rugby. Ja tu wysiadam. Mam coś do załatwienia w Rugby.

Wstał i otrząsnął się, zapiął na sobie płaszcz i ściągnął rondo sfatygowanego kapelusza niżej na swoje zagadkowe szkła. Pociąg zwolnił i stanął. Pender spoglądał za nim, jak oddala się szybko w mżawkę za kręgiem gazowych latarni.

— Jakiś stuknięty — rzekł Pender z dziwną ulgą. — Na szczęście będę chyba sam w przedziale.

Wrócił do *Morderstwa na plebanii*, ale wciąż nie mógł się skupić na lekturze.

— Jak się nazywał ten środek, o którym wspomniał?

Ani rusz nie mógł sobie przypomnieć.

Następnego dnia po południu Pender wyczytał w gazecie tę notatkę. Kupił „Sztandar”, żeby go przeczytać przy lanczu, i wyraz „wanna” przyciągnął jego spojrzenie, inaczej chyba w ogóle by nie zauważył, bo wiadomość była króciutka.

BOGATY PRODUCENT UMARŁ W WANNIE TRAGICZNE ODKRYCIE ŻONY

Wstrząsające odkrycie uczyniła dziś rano małżonka Johna Brittlesea, dobrze znanego kierownika Brittlesea's Engineering w Rugby. Kiedy jej mąż, którego widziała żywego i całkiem zdrowego niecałą godzinę wcześniej, nie zszedł na śniadanie, zajrzała do łazienki, w której po wylamaniu drzwi znaleziono inżyniera martwego w wannie. Według opinii lekarza, nie żył już od pół godziny. Stwierdzono, że przyczyną zgonu był atak serca. Zmarły producent...

— Co za dziwny zbieg okoliczności — rzekł sobie Pender. — W Rugby. Mój nieznajomy przyjaciel z pewnością by się tym zainteresował, jeśli tam jeszcze jest i coś załatwia. A w ogóle to ciekawe, czym on się zajmuje.

To doprawdy ciekawe, jak za człowiekiem chodzi, zdawałoby się, ten czy ów zbieg okoliczności, gdy na ten właśnie zbieg okoliczności skieruje się raz jego uwaga. Trafia cię zapalenie wyrostka: i od razu w gazetach ukazuje się, mnóstwo notatek o politykach, cierpiących na zapalenie wyrostka, i o takich, co na to umarli; okazuje się, że wszyscy twoi znajomi albo sami je przeszli, albo ich przyjaciele, którzy albo na to umarli, albo wyzdrowieli jak na pokaz, w zadziwiającym tempie i dużo prędzej niż ty; co otworzysz jakiś tygodnik, to dowiadujesz się, że leczenie ślepej кишки należy do najświetniejszych osiągnięć współczesnej chirurgii; co sięgniesz po naukowe dzieło, to natrafiasz na porównanie wyrostka robaczkowego u ludzi i małp. Te wzmianki o wyrostku prawdopodobnie występują zawsze z jednakową częstotliwością, ale zauważamy je tylko wówczas, gdy umysł nasz jest na nie uczulony. Przynajmniej tak sobie Pender usiłował wytłumaczyć, dlaczego w tym okresie ludzie jak gdyby niezwykle często umierali w wannach.

Chodziło to za nim bez przerwy. Kolejność zawsze ta sama: gorąca kąpiel, znalezienie zwłok, postępowanie wyjaśniające i zawsze ta sama opinia lekarska: atak serca z powodu zanurzenia się w zbyt gorącej wodzie. Aż zaczęło się Penderowi wydawać, że gorąca kąpiel jest w ogóle niebezpieczna. Sam zaczął się kąpać w coraz chłodniejszej wodzie, aż wejście do wanny niemalże przestało mu sprawiać przyjemność.

Co rano, przeglądając gazetę, szukał przede wszystkim nagłówek dotyczących kąpiei, zanim wziął się do wiadomości; i czuł tyleż ulgi, co i mglistego jakby rozczarowania, gdy cały tydzień upłynął bez tragedii w gorącej wannie.

Jedną z takich nagłych śmierci był zgon młodej i pięknej kobiety, z którą jej mąż, chemik, o kilka miesięcy wcześniej bezskutecznie starał się rozwieść. Koroner skłonny był podejrzewać coś nieczystego i poddał męża ciężkiemu

przesłuchaniu. Jednak wyglądało na to, że świadectwo lekarskie nie da się podważyć. Pender, pogrążając się w fantazjowaniu na temat nieprawdopodobnej możliwości, żałował, i to dzień po dniu, że nie może sobie przypomnieć nazwy tego środka, o którym wspomniał człowiek z pociągu.

Potem we własnym sąsiedztwie Pendera wydarzyła się sensacja. Starego pana Skimmingsa, mieszkającego tylko z gospodynią tuż za rogiem, znaleziono martwego w łazience. Nigdy nie miał zbyt mocnego serca. Gospodyni zwierzyła się mleczarzowi, że od dawna spodziewała się czegoś takiego, bo starszy pan brał zbyt gorące kąpiele. Pender wybrał się na inkwest.

Gospodyni zeznawała. Pan Skimmings był najlepszym z pracodawców i jest niepokieszona, że go traci. Nie, nie wiedziała, że pan Skimmings zapisał jej tyle pieniędzy, ale on właśnie miał takie dobre serce. Zapadł werdykt: śmierć (na skutek nieszczęśliwego wypadku).

Tego wieczora Pender, jak zwykle, wybrał się na przechadzkę z psem. Jakaś ciekawość zaprowadziła go pod dom świętej pamięci Skimmingsa. Kiedy z wolna przechodził, spoglądając na martwe okna, furtka się otworzyła i wyszedł jakiś mężczyzna. W świetle ulicznej latarni Pender go natychmiast rozpoznał.

— Hej! — powiedział.

— Al, to pan? — odpowiedział mężczyzna. — Oglądamy sobie miejsce tragedii, tak? I co pan o tym sądzi?

— Och, nic nadzwyczajnego — rzekł Pender. — Nie znałem go. Dziwne, że się tak (spotykamy).

— Prawda? Pan tu chyba gdzieś mieszka.

— Tak, tu niedaleko — odpowiedział Pender i pożałował tych słów. — Pan również?

— Ja? I — rzekł mężczyzna. — Nie, nie. Tylko miałem tu coś do załatwienia.

— Kiedy widzieliśmy się ostatni raz — rzekł Pender — miał pan coś do załatwienia w Rugby. — Doszli ramię w ramię do rogu, na którym Pender musiał skręcić do swego domu.

— Owszem — przytaknął tamten. — Moje zajęcie nosi mnie po całym kraju. Nigdy nie wiadomo, gdzie następnym razem będę potrzebny.

— To właśnie kiedy pan był w Rugby, znaleziono tam starego Brittlesea martwego w wannie, prawda? — zauważył Pender jak gdyby od niechcienia.

— Tak. Dziwne są te zbiegi okoliczności. — Mężczyzna spojrzał na niego z ukosa przez swe połyskujące szkła. — Cały swój majątek zostawił żonie, prawda? Teraz to bogata osóbką. Ładna dziewczyna! była dużo młodsza niż oni.

Doszli do furtki Pendera. — Może pan wstąpi na drinka — rzekł Pender i znów pożałował tego odruchu.

Tamten przyjął zaproszenie i weszli do kawalerskiego gabinetu Pendera.

— Jakoś dziwnie dużo się ostatnio zdarzyło tych zgonów w łazience, prawda? — rzekł ód niechcienia Pender, strzykając wodą sodową do szklanek.

— Pan to uważa za dziwne? — spytał gość, w zwykłej sobie irytującej manierze kwestionowania wszystkiego, co się do niego powie. — Czy ja wiem. Może to i dziwne. Ale te przypadki nigdy nie były rzadkie.

— Może zwracam na nie więcej uwagi po rozmowie, jaką mieliśmy z panem w pociągu. — Pender zaśmiał się, nieco zakłopotany. — po, prostu zastanawiam się, pan wie, jak to bywa, czy jeszcze ktoś inny nie wpadł na ten środek, o którym pan mówił, jakże on się nazywa?

Gość zignorował pytanie.

— Och, nie sądzę — powiedział. — Jestem przekonany, że nie zna go nikt poza mną. Trafiałem na to przypadkowo, mając na celu coś zupełnie innego. Nie wyobrażam sobie, żeby można było to samo odkryć równocześnie w dwóch miejscach. Jednak wszystkie te werdykty dowodzą - nieprawdaż? — jaki to bezpieczny sposób na pozbycie się kogoś.

— Więc pan jest chemikiem? — zapytał Pender, chwytając się jedyne go zdania, które jakby obiecywało coś z informacji.

— Och, wszystkim po trosze. Takim jakby człowiekiem do wszystkiego. Sporo też zajmuję się badaniami na własną rękę. Ma pan tutaj, widzę, parę ciekawych książek.

Penderowi to pochlebiło. Jak na swoje możliwości — pracował w banku, zanim odziedziczył trochę pieniędzy — uważał, że świadomie poszerzył swe horyzonty, i wiedział, że jego kolekcja współczesnych pierwodruków będzie pewnego dnia coś niecoś warta. Podszedł do oszklonego regału i wyjął parę tomów, aby pokazać je gościowi.

Ten wykazał się inteligencją i po chwili też podszedł do półek.

— W tym wyraża się, jak sądzę, pański gust osobisty? — Wyjął tom Henry

Jamesa i spojrzął na wyklejkę. — To jest pańskie nazwisko? E. Pender?

Pender przyznał się, że istotnie. — Ale ja nie miałem przyjemności - dorzucił.

— Och! ja należę do ogromnego klanu Smithów — odpowiedział mu gość ze śmiechem — i muszę zarabiać na chleb. Pan się tutaj bardzo mile urządził.

Pender wyjaśnił, jak to swego czasu był urzędnikiem i jak dostał spadek.

— A to przyjemnie, co? — rzekł Smith. — Pan nie jest żonaty? Nie.

A to szczęśliwiec z pana. Chyba nie będzie panu w najbliższym/czasie potrzebny siarczan... tego... żadne takie poręczne środki. Ani też później, byle pan poprzestał na tym, co ma, i trzymał się z daleka od kobiet i spekulacji.

Uśmiechnął się krzywo do Pendera. Teraz, bez kapelusza, okazało się, że ma na głowie dużo siwych i mocno kędzierzawych włosów, przez co wyglądał starszej niż wtedy w przedziale.

— Nie, na razie nie zamierzam korzystać z pańskiej pomocy — roześmiał się Pender. — A zresztą, gdybym potrzebował, to jak pana znaleźć?

— Wcale by pan nie musiał — rzekł Smith. — Ja bym pana znalazł. To nigdy nie nastęcza trudności. — Błysnął zębami w jakimś dziwnym uśmiechu. — No, ale czas na mnie. Dziękuję za gościnność. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze spotkali... ale wszystko może się zdarzyć. Różnie bywa w życiu, no nie?

Kiedy wyszedł, Pender wrócił na swój fotel i sięgnął po szklankę whisky, która stała tam prawie pełna.

— Dziwne! — powiedział sobie. -- Nie pamiętam, żebym ją nalewał. Pewnie coś mnie zajęło i zrobiłem to automatycznie. — Z wolna wysączył whisky, myśląc o gościu.

Co u licha Smith miał do roboty w domu Skimmingsa?

W ogóle to dziwaczna sprawa. Jesliby gospodyni Skimmingsa wiedziała o tych pieniądzech... Ale nie wiedziała, a gdyby nawet... skąd by się dowiedziała o istnieniu Smitha i jego siarczanu... miał tę nazwę na końcu języka.

„Nie musiałby pan mnie szukać. Ja bym pana znalazł”. Co ten facet właściwie miał na myśli? Ależ to śmieszne. Ostatecznie co Smith to nie diabeł. Ale jeśli rzeczywiście zna sposób... jesliby się zgodził za określoną sumę... ależ to całkowity nonsens.

„Mam coś do załatwienia w Rugby... Miałem coś do załatwienia w domu Skimmingsa”. Co za brednie!

„Nikommu nie można zaufać. Absolutna władza nad życiem innego człowieka... To wciąga”.

Czysty obłęd! A gdyby w tym istotnie coś było, to facet chyba zwariował, żeby jemu o tym powiedzieć. Niechby tylko Pender się zechciał wygadać, to facet by wisiał. Już samo istnienie Pendera byłoby niebezpieczne.

Ta whisky!

Roztrząsając to w myśli, w kółko i w kółko, Pender nabrał przekonania, że Mielke Thomas R P wcale jej nie nalewał. Smith musiał to uczynić za jego plecami. To nagłe zainteresowanie dla książek, jak na pokaz! Nie wiązało się z niczym, co było przedtem. Ta whisky, jak się głębiej zastanowić, była dość mocna. Czy to igraszki wyobraźni, czy miała trochę osobliwy smak?

Zimny pot wystąpił Penderowi na czoło.

Po upływie kwadransa i potężnej dawce musztardy z wodą Pender znalazł się znów na dole, trzęsąc się z zimna, kuląc się przy ogniu. No... ledwie uszedł z życiem! jeżeli uszedł. Nie wiedział, jak to działa, ale przez kilka dni nie będzie brał gorącej kąpieli. Nigdy nic nie wiadomo.

Czy w porę jeszcze poskutkowała musztarda z wodą, czy gorąca kąpiel była tak istotną częścią procedury, życie Pendera na razie ocalało. Ale wciąż czuł się nijako. Drzwi wejściowe stale miał zamknięte na łańcuch i uprzedził służącego, aby w żadnym razie nie wpuszczał obcych.

Zamówił jeszcze dwa dzienniki poranne i niedzielne „News of the World” i bacznie śledził ich zawartość. Dostał obsesji na punkcie zgonów w łazience. Zaniedbał swe pierwodruki i zaczął uczęszczać na sądy koronerskie.

W trzy tygodnie później znalazł się w Lincoln. Jakiś mężczyzna umarł tam na serce w łaźni tureckiej, otyły, prowadził siedzący tryb życia. Ława przysięgłych opatrzyła swój werdykt o nieszczęśliwym wypadku adnotacją, że kierownictwo łaźni powinno baczniej czuwać nad gośćmi i nie dopuszczać, aby znajdowali się oni w gorących pomieszczeniach bez obsługi.

Wychodzącemu Penderowi zamajaczył z daleka sfatygowany kapelusz, jakby znajomy. Pognał za nim i dopadł pana Smitha, już wsiadającego do taksówki.

— Smith! — zawołał, trochę bez tchu. Złapał go wściekłym uchwytem za ramię.

— O, znowu pan? — rzekł Smith. — Widzę, że robimy notatki ze sprawy. Potrzebuje pan mojej pomocy?

— Ty łotrze! — powiedział Pender. — Maczałeś w tym palce! A ostatnim razem próbowałeś mnie zabić.

— Czyżby? A to dlaczego?

— Będziesz za to wisiał! — krzyknął z pogroźką Pender.

Przez gromadzący się wokół nich tłumek utorował sobie drogę policjant.

— Panowie! — rzekł. — O co chodzi Smith znacząco stuknął się w czoło.

— Nic takiego się nie stało, konstablu — odpowiedział. — Ten pan, zdaje się, sądzi, że ja tu robię coś złego. Oto moja legitymacja. Koroner mnie zna. Ale ten pan mnie napadł. Proszę go mieć na oku.

— Tak było — rzeki któryś ze świadków.

— Ten człowiek usiłował mnie zabić — rzekł Pender.

Policjant pokiwał głową.

— Proszę się tym nie przejmować — powiedział. — Nic panu nie grozi. Proszę się opanować. Upał trochę pana rozdrażnił. No już dobrze, dobrze.

— Ale ja chcę wnieść oskarżenie — rzekł Pender.

— Nie radziłbym tego robić — rzekł policjant.

— Oświadczam panu — rzekł Pender — że ten Smith próbował mnie otruć. To morderca. Otruł już mnóstwo ludzi.

Policjant kiwnął na Smitha.

— Niech pan lepiej odejdzie — rzeki. — Ja to załatwię. No, kolego — chwycił Pendera mocno za ramiona — bez awantur i spokój! Ten pan wcale się nie nazywa Smith ani podobnie. Trochę się panu pokręciło.

— A jak się nazywa? — zapytał Pender.

— Mniejsza o to — odpowiedział policjant. — Proszę mu dać spokój, bo narobi pan sobie kłopotów.

Taksówka odjechała. Pender rozejrzał się po kręgu rozbawionych twarzy i dał za wygraną.

— Dobrze — oświadczył. — Nie będę się tu awanturował. Pójdę z panem na posterunek i wyjaśnię.

— I co o tym sądziecie? — zapytał inspektor sierżanta, gdy Pender potykając się opuścił posterunek.

— Mógłby wleźć na drzewo i wołać kuku — odpowiedział jego podwładny.

— Taki, jak to mówią, ideofik.

— Hm! — odparł inspektor. — No cóż, mamy jego nazwisko i adres. Proszę je zanotować. Może się znów gdzieś pojawić. Trucie ludzi, tak żeby umierali w wannie, hm? Niezły pomysł. Czego te czubki nie wymyślą.

Wiosna była tego roku nieprzyjemna: chłodna i mglista. W marcu Pender wybrał się na sąd koronerski w Deptford, ale gruba zasłona mgły wisiała nad rzeką, jak w listopadzie. Ziąb przejmował do kości. Siedząc w tej małej, obskurnej salce, wyciągając oczy w żółtawy półmrok światła gazowego i mgły, prawie nie widział świadków, podchodzących do stołu. Kaszel dręczył bodajże wszystkich obecnych. Pender też pokaszliwał. Kości go bolały i czuł, że mu się zbiera na gripę.

Kiedy się tak przyglądał, wydało mu się, że rozpoznaje po przeciwnej stronie sali znajomą twarz, ale dotkliwa mgła, sącząca się ze wszystkich szczelin, piekła go w oczy i mąciła wzrok. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wymacał dobrze układający się w dłoni przedmiot, gruby i ciężki. Od czasu tego zajścia w Lincoln nie rozstawał się z czymś do obrony. Nie żaden rewolwer... nie znał się na strzelaniu. Dużo lepszy jest podłużny worek z piaskiem. Kupił go od starego człowieka, chodzącego z taczkami. Miało to służyć do uszczelniania drzwi od przeciągów: staroświeckie, dobre urządzenie.

Zapał ten werdykt, co zawsze. Widzowie zaczęli się przepychać do drzwi. Teraz Pender się musiał pośpieszyć, aby nie stracić go z oczu. Przepychał się łokciami, mamrocząc jakieś przeproszenia. We drzwiach omal się z nim nie zetknął, ale zagroziła mu drogę tęga kobieta. Przedarł się koło niej, a ona kwiknęła z oburzenia. Idący przodem mężczyzna odwrócił głowę i światło sponad wejścia błysnęło w jego binoklach.

Pender ściągnął kapelusz na oczy i pośpieszył za nim. Obuwie miał na gumowej podeszwie, nie czyniące hałasu na lepkiem bruku. Tamten szedł prędko i cicho, do końca jednej ulicy, potem w drugą, nie oglądając się. Mgła była tak gęsta, że Pender musiał trzymać się kilka metrów za nim. Dokąd on zmierza? W kierunku oświetlonych ulic? Do tramwaju lub autobusu i do domu? Nie. Skręcił w zaułek na lewo.

Mgła była tu jeszcze gęstsza. Pender już nie widział tropionego, ale ciągle słyszał przed sobą kroki, w równym tempie. Wydawało mu się, jakby ich było tylko dwóch na świecie: ścigany i ścigający, zabójca i mściciel. Uliczka stawała się coraz bardziej pochyła. Pewnie wyjdą nad rzekę.

Wtem znikły majaczące zarysy domów po obu stronach. Tylko otwarta przestrzeń i pośrodku ledwie dostrzegalna latarnia. Kroki zatrzymały się. Pender, cicho nadążając za nimi, ujrzał tego człowieka, jak stoi tuż pod latarnią i najwidoczniej coś sprawdza w notesie.

Cztery kroki i już był przy nim. Wyjął z kieszeni worek z piaskiem. Tamten podniósł na niego wzrok.

— Teraz już cię mam — rzekł Pender i z całej siły uderzył.

*

Nie mylił się Pender. Położyła go grypa. Dopiero za tydzień wstał i wyjrzał na świat. Pogoda się zmieniła, powietrze teraz było świeże i rozkoszne. Jakkolwiek osłabiony po chorobie, czuł się, jakby mu kto zdjął z pleców ogromny ciężar. Podreptał do ulubionej księgarni na Strandzie i wyszperał tam pierwodruk D. H. Lawrence'a za cenę niewątpliwie okazijną. Zachęcony tym ruszył do małej jadłodajni, odwiedzanej często przez dziennikarzy z Fleet Street, gdzie zamówił stek z rusztu i kufelek porteru.

Przy stoliku obok siedzieli dwaj dziennikarze.

— Idziesz na pogrzeb starego Buckleya? — spytał jeden.

— Idę — powiedział drugi. — Biedaczyna! Że go tak musieli stuknąć po głowie. Widocznie szedł zrobić wywiad z żoną tego faceta, co umarł w kąpieli. To niebezpieczna okolica. Pewnie któryś z chłopaków Jima Karciarza miał z nim porachunki. To był wielki reporter kryminalny! Nieprędko się dorobią takiego jak Bill Buckley.

— I porządny był z niego chłop. Równiacha. A te jego kawały. Pamiętasz ten siarczan tanatolu?

Pender aż się wzdrygnął. Tego właśnie słowa brakowało mu przez tyle miesięcy! Ogarnęło go jakby dziwne oszołomienie i pociągnął dla równowagi z kufła.

— przypatrując się tym chłodnym okiem — kontynuował dziennikarz. — Urządzał tę zgrywę jakimś nieszczęsnym bubkom w pociągu i patrzył, jak który zareaguje. Nie uwierzysz, ale jeden facet mu zaproponował...

— Hej! — przerwał mu kolega. — Patrz, ten gość zemdlął. Cały czas mi się wydawał jakiś błady.

Falszywy ciężarek

A co to? — zawołał pan Montague Egg.

Znał aż za dobrze gospodę pod Królewskim Dębem w Pondering Parva i nie było to na ogół miejsce, gdzie by się zatrzymywał. Interes szedł słabo, karmili marnie, gospodarz był zgryźliwy i szanse dla przedsiębiorczego agenta, proponującego sprzedaż wysokiej jakości win i wódek, raczej niewielkie. Ale zobaczyć tam o wpół do dziewiątej rano tłum gapiów, samochód policyjny i karetkę pogotowia przy wejściu, to każdego by zaciekało. Pan Egg zdjął stopę z gazu, podjechał i stanął.

— Co się tu dzieje? — spytał jakiegoś gapia.

— A zabili kogoś... Stary Rudd poderzwał gardło swojej babie... Nie, to nie on, to George... Też nieprawda, to byli złodzieje, wygarnęli mu kasę... George tylko szedł i zobaczył, że podłoga cała zalana krwią... słyszycie? to Liz Rudd krzyczy... dostała hysterii... A nie ty gadałeś, że jej poderzwał gardło?... Ja tego nie mówiłem, to Jim, a dużo on tam wie. Ja mówię, że to George... o! Inspektor wyszedł, to się dowiemy.

Pan Egg już wysiadł z samochodu i zbliżył się do drzwi baru. Mundurowy inspektor policji zatrzymał go w progu.

- Nie ma wstępu. Kim pan jest i czego pan chce?

— Nazywam się Montague Egg, jestem przedstawicielem firmy Plum-mett & Rose, sprzedaż win i wódek, Piccadilly. Przyjechałem się zobaczyć z panem Ruddem.

— Teraz nie może się pan z nim widzieć, więc proszę się oddalić... Chwileczkę! Pan jest podróżującym agentem, tak? Pan działa stale na tym terenie?

Pan Egg potwierdził.

— W takim razie może nam pan udzieli pewnych informacji. Proszę wejść.

— Tylko pójde po torbę — rzekł Monty. Ciekawość go pożerała, ale nie do tego stopnia, by nie pamiętał, iż komiwojażer obowiązany jest nade wszystko dbać o swoje próbki towaru i pełnomocnictwa. Wyjął z samochodu ciężką walizę i wniósł ją do gospody, odprowadzany okrzykami z tłumu: — To fotograf, widziałeś ten aparat? —

Postawiwszy ją w środku za drzwiami, rozejrzał się w barze pod Królewskim Dębem. Przy stoliku pod oknem siedział policjant i coś zapisywał w notesie. Postawny mężczyzna z twarzą jak mops, w którym Monty rozpoznał właściciela, nazwiskiem Rudd, stał w samej koszuli oparty o bar. Był nie ogolony i wyglądał, jakby się ubierał w pośpiechu. Przy nim stał, marszcząc się posepnie, kędzierzawy młodzian o potężnych muskułach i prawie że nie liczącym się czółku. Gdzieś z głębi dolatywały krzyki i szloch kobiety. I to wszystko, jeśli nie liczyć otwartych drzwi z prawej strony, z napisem BAR-SALON, przez które widać było plecy mężczyzny w płaszczu, schyłego nad czymś leżącym na podłodze.

Inspektor wziął od pana Montague Egga dokumenty, przejrzał je i zwrócił.

— Wcześniej pan ruszył w drogę — zauważył.

— Tak — odpowiedział Monty. — Zamierzałem wczoraj dotrzeć do Pettiford, ale mgła zatrzymała mnie w Madgebury. Muszę to nadrobić. Nocowałem pod Starym Dzwonem, tam wszystkiego może się pan o mnie dowiedzieć.

— Aha — powiedział inspektor, spoglądając na policjanta. — A więc, panie

Egg. Zdaje mi się, że panowie, podróżujący agenci, wszyscy się na ogół dość dobrze znacie. Czy mógłby pan zidentyfikować leżącego tam człowieka?

— Spróbuję — rzekł Monty — chociaż nie znam oczywiście wszystkich podróżujących agentów. Ale jego nazwisko musi być w dokumentach.

— Właśnie w tym rzecz — odparł inspektor. — Widocznie trzymał dokumenty w walizce z próbkami, a ta znikła. Ma przy sobie co prawda jakieś listy, ale z tych listów... no, jeszcze do tego wrócimy. Proszę tędy.

Przeszedł do pokoju na prawo. Monty udał się za nim. Schylony mężczyzna się wyprostował.

— Nie ma żadnych wątpliwości, Birch — zauważył. — Głowa roztrzaskana. Nie żyje osiem do dziesięciu godzin. Wykluczone, żeby zrobił to sam albo przypadkiem. Jako narzędzie służyła prawdopodobnie ta butelka. Radzę wziąć odciski. Chce pan jeszcze coś wiedzieć? Bo jak nie, to wracam do śniadania. Po drodze dam znać koronerowi, jeśli pan sobie życzy.

— Dziękuję, doktorze. Osiem do dziesięciu godzin, co? To by się nawet

zgadzało z tym, co powiedział Rudd. Panie Egg, proszę tu spojrzeć, dobrze? Doktor ustąpił na bok i Monty ujrzał zabitego. Był to drobny mężczyzna w porządnym ubraniu z granatowego szewiotu. Włosy miał czarne, przyлизane, i krótki wąsik pod nosem. Krew z otwartej rany na skroni wyciekła i zeskorupiała na gładkim policzku. Wyglądał na lat trzydzieści pięć albo czterdzieści.

— Ależ tak, znam go — powiedział Monty. — Znam go nawet dość dobrze. Nazywa się Wagstaffe i jeździ... to znaczy jeździł... dla firmy Applebaum & Moss, tego wielkiego przedsiębiorstwa od taniej biżuterii.

— Ach! tak? — rzekł z naciskiem inspektor. — W takim razie domyślam się, że w jego walizce była biżuteria.

— Owszem, i zegarki, i tym podobne.

— Ha! — rzekł inspektor. — A może mi pan powiedzieć, dlaczego nosił w kieszeni listy adresowane do różnych innych osób? Na przykład ten: Wielmożny Pan Joseph Smith. Albo ten: Pan William Brown. A tu mamy szczególnie wzruszający: Szanowny Pan Harry Thorne. Ten jest wyjątkowo intymny.

— Muszę to panu wyjaśnić, inspektorze? — zapytał cicho pan Montague Egg.

- Niekoniecznie, jeśli już o to chodzi. Oj! wy, panowie w rozjazdach, jesteście wszyscy jednakowi, nieprawdaż? W każdym porcie ma się inną żonę, czy nie tak?

— Nie ja, inspektorze. Monty Egg nie uznaje ślubnych obrączek. Ale ten biedak Wagstaffe... obawiam się, że ma pan rację. No i dostał za swoje, nie uważa pan?

— Rzeczywiście. Ale wygląda na to, że trochę się bronił. — Inspektor Birch rozejrzał się po barze-salonie. W tym niedużym pokoju chyba nie było mebla, który by nie poniósł uszczerbku. Okrągły stolik przed kominkiem leżał na boku, a zawartość rozbitej butelki whisky pociekła wonną strugą po linoleum. Krzesła były odsunięte i przewracane, szklany front etażerki strzaskany w gwiazdę, jak gdyby od wierzgnięcia, a stojący zegar tak przechylony, że oparł się na gzymsie kominka. Spojrzenie pana Egga zawisło na jego tarczy, a w ślad za nim pobiegł wzrok inspektora. Wskazówki zatrzymały się na godzinie dziesięć po jedenastej.

— Tak — rzekł pan Birch. — I jeśli nie kłamie, to wiemy dość dokładnie, kiedy i kto to zrobił. Zna pan komiwojażera nazwiskiem Slater?

— Archibalda Slatera znam ze słyszenia — rzekł Monty. — Robi w damskiej bieliźnie.

— Właśnie o niego chodzi. Jak mu idzie w interesach? Czy dobrze zarabia? Wychodzi na swoje i w ogóle?

— Chyba tak. Pracuje dla dobrej firmy. — Monty podał jej nazwę. — Ale nie znam go osobiście. Zdaje się, że obsługiwał Yorkshire i Lancashire. Przejął rejon po starym Crippsie.

— Czy jest, według pana., prawdopodobne, żeby zamordował drugiego i zwędził mu próbki?

Monty zaprotestował. To ostatnia rzecz, jaką mógłby zrobić podróżujący agent! Isjnieje coś w rodzaju sprzysiężenia masońskiego.

— Hm — powiedział inspektor. — No, to proszę posłuchać. Rudd jeszcze raz opowie nam swoją wersję, bo i tak musimy ją zaprotokołować.

Relacja gospodarza była dość jasna. Pierwszy komiwojażer, teraz już zidentyfikowany jako Wagstaffe, przybył o 7.30. Oświadczył, że miał zamiar dotrzeć do Pettiford, ale mgła się okazała zbyt gęsta. Zjadł obiad i przeszedł do baru-salonu, który był pusty. Usług hotelowych w całym tego słowa znaczeniu pod Królewskim Dębem zawsze świadczyło się niewiele, a tego wieczora nie było w ogóle nikogo poza kilkoma robotnikami w piwiarni. O wpół do dziesiątej zjawił się Slater, stwierdzając, że i on przerwał podróż z powodu mgły. Było już po obiedzie i niebawem poszedł do baru-salonu, gdzie już znajdował się Wagstaffe. Słyszano, jak wchodząc powiedział do niego „bardzo niemiłym tonem”: — Aa, jesteś? — Potem drzwi się zamknęły, lecz po chwili Wagstaffe zastukał do okienka, dzielącego salon od baru, i poprosił o butelkę whisky. O wpół do jedenastej, kiedy już zamykano bar i zmywano, Rudd wszedł i zastał ich rozmawiających przy komirjku. Obaj wyglądali na purpurowych z gniewu. Rudd oznajmił, że on, jego żona i barman idą spać, bo muszą wcześniej wstawać. Czy panowie mogą zgasić światło, jak będą szli na górę?

Tu gospodarz przerwał, by wyjaśnić, że nad barem-sabnem nie ma sypialni, tylko długi, pusty pokój przez całą szerokość domu od frontu, gdzie zbierają się kółka parafialne i tym podobne. Wszystkie sypialnie mają okna od tyłu i nie słyszą stamtąd niczego, co dzieje się na parterze.

— Było może dwadzieścia po jedenastej — podjął — kiedy usłyszałem, że ktoś wszedł na górę i puka do naszej sypialni. Wstałem z łóżka i otworzyłem. To był Slater, wyglądał dziwnie i był roztrzęsiony. Powiedział, że pogoda się przejaśniła i że zdecydował się jechać do Pettiford. Wydało mi się to dziwne, ale wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że mgła znikła, księżyc jasno świeci i wziął mróz. Powiedziałem, że musi zapłacić za pokój, a on się nie spierał. Włożyłem szlafrok i zeszliśmy po tylnych schodach do kantoru. To jest za barem. Wystawiłem mu rachunek, zapłacił, potem wypuściłem go tylnym przejściem do garażu. Zabrał swoje walizki...

— Ile tych walizek?

— Dwie.

— Przyjechał też z dwoma?

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie przyglądam się bagażowi. Jak przyjechał, cisnął swoje rzeczy w barze-salonie, a kiedy wyszedłem z kantoru z resztą, stał już z nimi na korytarzu gotów do wyjścia, w kapeluszu i płaszczu. Nie wyszedłem z nim na dwór, był straszny ziąb i nie podobało mi się, że mnie wyciąga z łóżka; ale po kilku minutach usłyszałem wyjeżdżający samochód. Potem wróciłem do łóżka i spostrzegłem przez okno kantoru, że w barze-salonie ciągle się świeci, tak że drzwi musiały być otwarte. Tyłne drzwi od salonu prowadzą do kantoru, rozumie pan? i jak są otwarte, to na podwórzu widać światło z okna kantoru. Więc pomyślałem, że ten drugi gość jeszcze siedzi i że obciąży go dodatkowo za światło. I poszedłem do łóżka.

— Nie sprawdził pan, czy on tam jeszcze jest?

— Nie — rzekł pan Rudd. — Było piekielnie zimno, nie żeby jeszcze łązić! Poszedłem do łóżka i spać.

— Szkoda. Czy od razu pan zasnął?

— Tak. Z miejsca.

— Nic pan nie słyszał, jak Wagstaffe wchodzi na górę?

— Nic a nic. Ale moja żona nie spała do północy i mówi, że do tego czasu nie wchodził. A tak na rozum biorąc, to on już w ogóle nie mógł wejść na górę, co?

— Na to wygląda — rzekł ostrożnie inspektor. - A jak było z Georgem? \

Barman potwierdził opowieść Rudda i coś niecoś dorzucił. Że między wpół do dziesiątej a dziesiątą wszedł do baru-salonu[^] i zastał obu jakby w zajadłej kłótni. Slater mówił: — Ty gnido! żebyś ci nie połamał kości! — Odniosł wrażenie, że obaj są pijani. Nie odzywał się do nich, tylko poprawił ogień i wyszedł. Więcej kłótni nie słyszał. Po tym, jak Rudd o wpół do jedenastej poszedł na górę, znów tam zajrzał, ale oni już rozmawiali spokojnie i chyba czytali jakieś listy. Więc też się położył, a zbudziły go kroki i odjazd samochodu.

— I co dalej? — spytał inspektor Birch. George spuścił posepnie oczy.

— Pan Rudd wrócił na górę.

— No i?

— To wszystko. Znowu zasnąłem.

— Nie słyszałeś, żeby ktoś inny się ruszał?

— Nie. Mówię, że zasnąłem.

— O której pan Rudd poszedł na górę?

— Nie wiem. Nie patrzyłem.

— A słyszałeś, jak bije dwunasta?

— Niczego nie słyszałem. Spałem.

— Ile walizek ten Slater ze sobą przywiózł?

— Tylko jedną.

— Jesteś tego pewien?

— Chyba tak.

— A ten drugi, Wagstaffe, miał walizkę?

— Tak, miał jedną walizkę. Zabrał ją do salonu.

— Czy ci dwaj się wpisali do księgi?

— Slater, jak przyjechał, to się wpisał — odpowiedział gospodarz. — Wagstaffe się nie wpisał. Miałem z rana mu o tym przypomnieć.

— Wobec tego Slater nic nie planował, kiedy tu przyjechał — rzekł inspektor. — Wygląda mi to na przypadkowe spotkanie. Dziękuję, Rudd. Z pańską żoną później porozmawiam. Teraz niech pan wraca do swoich spraw i za dużo o tym nie gada. Mamy numer samochodu Slatera — dodał, nie wiadomo do kogo. — Jeśli rzeczywiście pojechał do Pettiford, to go tam zgarną.

— Właśnie — powiedział Monty. — Spodziewam się — dodał jakby na próbę — że ten zegar nie kłamie?

— Że ktoś mógłby go cofnąć, tak? — odrzekł inspektor. — Jak w tej sztuce, co ją grają w stolicy?

— No — przyznał Monty — troszkę to dziwnie wygląda, że zbrodniarz tak starannie przewrócił zegar, całkiem jakby się starał dostarczyć przeciw sobie dowodu. Nie wygląda to naturalnie. Chwalcie z umiarem! nabywca zaraz podejrzewa, że mu się kłamie, jeśli sprzedawca nieostrożny posunie się za daleko w reklamie! jak mówi *Poradnik Sprzedawcy*.

— Zaraz się przekonamy — rzekł inspektor, podchodząc do zegara. — Ale momentik... lepiej sprawdzić, czy na szafce się nie znajdują odciski palców.

Przybycie fotografa i całej aparatury do zdejmowania i utrwalania odcisków palców doprowadziło do wykrycia takiego mnóstwa śladów, że jak zegar, tak i butelka przeszły przez wiele rąk, aż wyłonił się nieodparty wniosek, że pod Królewskim Dębem już od niepamiętnych czasów nie używano ściěrki do kurzu i pasty do mebli. W końcu porobiono zdjęcia, po czym inspektor i jeden z policjantów wspólnymi siłami ustawili zegar na dawnym miejscu. Widać nie odniósł szwanku, tylko się zatrzymał, gdy wahadło oparło się o bok szafki, bo kiedy go postawiono, z miejsca zaczął wesoło tykać. Birch sięgnął grubym palcem wskazującym do wskazówki minutowej i zatrzymał się.

— Nie — powiedział — lepiej dać staruszkowi spokój. Jeśli ktoś tu

szachrował, może się coś na wskazówkach znajdzie, choć są trochę za wąskie, żeby odcisk palca się zmieścił. Ale nigdy nic nie wiadomo. Parę godzin chyba Jeszcze pochodzi.

— Och, na pewno — stwierdził pan Egg, otwierając szafkę i zaglądając do środka. — Ciężarki są dość nisko, zwłaszcza jeden, ale na jakieś dwanaście godzin jeszcze wystarczy. Co dziś mamy? sobotę? Pewnie nakręcają go w niedzielę rano.

— Zapewne — zgodził się inspektor. — No to dziękuję panu, panie Egg. Nie będę już pana zatrzymywał.

— Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, żebym wstąpił tu do baru na piwko — zasugerował Monty. — Otworzą go za jakieś pół godziny, a śniadanie jadłem dziś raczej skąpe.

— A ja w ogóle — uzalił się inspektor.

Dalszy ciąg był już dość oczywisty. Inspektor właśnie kończył zmiatać górę bekonu z jajkami, kiedy jakiś rozgardiasz u drzwi dał znać o przybyciu sierżanta policji w towarzystwie zbiegłego pana Slatera. Ten ostatni był postawnym, rozgniewanym mężczyzną, który, ledwie go wprowadzono, zaczął gwałtownie protestować.

— No już, spokój! — powiedział pan Birch. — Sierzancie, ile miał ze sobą walizek?

— Tylko jedną, panie inspektorze, własną.

— Mówię wam — rzekł Slater — że nic o tym nie wiem. Kiedy zostawiłem go tu w salonie ze dwadzieścia po jedenastej albo coś koło tego, Wagstaffe był zdrów i cały, tylko pijany. Odjechałem o wpół do dwunastej, a może za kwadrans dwunasta. Z jedną walizką przyjechałem i wyjechałem też z jedną, o, właśnie tą! a kto mówi co innego, ten kłamie. Gdybym go zamordował, to myślicie, że pojechałbym sobie do Pettiford i siedział, ot tak, przy śniadanku pod Czterema Dzwonami, czekając, aż mnie złapiecie?

— Może tak, a może nie — rzekł pan Birch. — Czy ten Wagstaffe był pana znajomym?

Rozwścieczone oczy drgnęły niepewnie.

— Spotykaliśmy się — powiedział Slater.

— Podobno doszło między wami do kłótni.

— No... spił się i zaczął być nieprzyjemny. To był jeden z powodów, że wyjechałem.

— Aha. — Inspektor wertował korespondencję, znaną w kieszeni zabitego.

— Pan ma na imię Archibald, prawda? Czy pan ma siostrę imieniem Edith?... O... nie!

Slater nagłym ruchem usiłował wyrwać Birchowi list.

— No cóż — przyznał niechętnie — mogę wam powiedzieć, że ta świnią Wagstaffe to był parszywy łajdak! Myśmy go znali pod nazwiskiem Thorne, a moja siostra jest jego żoną... w każdym razie tak jej się wydawało, aż wyszło na jaw, że ten śmierdziel ma już inną żonę, pod innym nazwiskiem! Pobrali się, kiedy ja miałem objazd na północy, i nic nie wiedziałem, aż przejąłem ten rejon... a wtedy już mnie troskliwie unikał... aż do wczoraj. Wprawdzie i tak nic mu nie mogłem zrobić, co najwyżej postarać się, żeby płacił alimenty na dzieciaka... i wreszcie się zgodził. Ja... niech pan posłucha, inspektorze, ja rozumiem, że to nie za dobrze wygląda, ale...

— Ej! — zawołał Monty. — A zegar? Zaraz będzie bił.

— Owszem — powiedział inspektor. — Dziesięć po jedenastej ten zegar pokazał, kiedy go przewrócono w bójce. A dwadzieścia po już tu pana nie było. Jeśli teraz wybije pierwszą, to będziemy wiedzieli, że cofnięto same wskazówki — a jeżeli dwunastą, to dobrze pokazuje i pan leżysz.

Szafka stała otworem. Przy pierwszym uderzeniu młoteczka patrzyli,

zafascynowani, jak ciężarek od wybijania godzin opuszcza się z wolna o kilka cali względem drugiego. Zegar wybił dwunastą.

— To już coś jest — rzekł posepnie pan Birch.

— Nieprawda! — wrzasnął dziko pan Slater. Później dodał, już nieco spokojniej: — Można było go zabić po moim wyjściu, ale przed północą, i cofnąć wskazówki o trzy kwadransy.

A gdy inspektor się zawahał:

— Chwileczkę — wtrącił się Monty. — Bardzo pana przepraszam, inspektorze, ale właśnie coś mi przyszło do głowy. O dwunastej ten ciężarek przebywa największą drogę, tymczasem obniżył się raptem o jakieś pół cala. Więc jak to się stało, że wisi o tyle niżej od ciężarka napędowego? Pan rozumie, o co mi chodzi? Podczas długich godzin, od szóstej do dwunastej, ciężarek od młotka wyprzedza ten od napędu i znajduje się niżej od niego, ale w krótkich godzinach ciężarek napędowy to nadrabia, tak że — jak wynika z moich obserwacji — w zegarze nakręcanym co osiem dni ta różnica nigdy nie bywa większa niż jakieś pół cala, i na końcu znowu są równo. Więc jak to możliwe, że ten aż o tyle przegonił tamten?

— Niedbale nakręcony — podsunął inspektor.

— Albo to — rzekł Monty — albo ktoś ustawił zegar na jedenastą. Nie ma innego sposobu, żeby cofnąć bijący zegar, chyba że ktoś pójdzie po rozum do głowy i w ogóle zdejmie ten ciężarek od młotka, ale na to ludzie zwykle nie są wystarczająco sprytni.

— Oho! — powiedział pan Birch. — No, ciekawe, kto by to mógł wiedzieć? Kto nakręca ten zegar? Rudd nam to wyjaśni.

— Może jego lepiej nie pytać, jeśli pan wybaczy mi, że się wtrącam — przemówił w zadumie pan Egg.

— Ach! — rzekł inspektor. — No tak. — Pociągnął wąsa. — Momencik. Już wiem.

Wpadł za drzwi i wrócił po chwili z chłopcem lat około czternastu.

— Synku — powiedział — kto nakręca ten zegar?

— Tato, w niedzielę rano.

— A widziałeś, jak nakręcał go zeszłej niedzieli?

— No pewnie!

— Mógłbyś sobie przypomnieć, czy oba ciężarki były podciągnięte na tę samą wysokość, czy jeden niżej a drugi wyżej, jak teraz?

— Zawsze je naciąga do końca, czternaście obrotów klucza, po dwa na każdy dzień, jak ciężarek już podszedł do końca, to słycać stuknięcie.

Inspektor skinął głową.

— To wszystko... biegnij. Panie Egg, zdaje się, że pan faktycznie trafił w dziesiątkę. Sierzancie!

Sierzant skinął mu porozumiewawczo i wyszedł. Minęło pół godziny, zaznaczając się tylko prawie niedostrzegalnym obniżaniem się ciężarka napędowego i uroczystym tykaniem zegara. Potem sierżant wrócił z walizką w ręku.

— Rzeczywiście, panie inspektorze. W kurniku pod kupą worków. Albo Rudd, albo też barman George.

— Obaj musieli w tym maczać palce — rzekł inspektor. — Ale który z nich go załatwił? Niech mnie. lichu weźmie, jeżeli wiem! Trzeba będzie poczekać na te odciski.

— Może spytać ich o klucz do zegara? — wtrącił pan Egg.

— A po co?

— Przyszedł mi taki pomysł.

— Dobrze. Proszę zawołać Rudda. Rudd, potrzebny jest nam klucz do tego zegara.

— Tak? — powiedział gospodarz. — A skąd ja go wezmę? Cholera wie, gdzie się podział! zakarbujcie to sobie. Ładna historia, żeby tak w przyzwoitym domu...

— Dobrze — powiedział inspektor — spytamy barmana. George, gdzie jest klucz od zegara?

George przejechał sobie dłonią po wyschniętych ustach. — W tym garnku na kominku — powiedział.

— Nie ma go tutaj — rzekł inspektor, zajrzawszy do garnka.

— Oczywiście — rzekł Monty. — A skąd mógłby Rudd wiedzieć, że go nie ma, gdyby tej nocy nie szukał go, żeby podkreślić ten ciężarek na odpowiednią wysokość, kiedy już posunął zegar o jedenaście godzin do przodu? Nic dziwnego, że wszystko tu jest wywrócone do góry nogami.

Twarz gospodarza przybrała kolor brudnozielonkawy, a George zaskowyczał.

— Proszę pana, ja o tym nic nie wiedziałem, aż było po wszystkim. Ja tego nie zrobiłem.

— Proszę im obu założyć kajdanki, sierzancie — rzekł inspektor Birch.

— A pan, Slater, zechce pamiętać, że będzie nam potrzebne pańskie zeznanie. Panie Egg, jestem panu ogromnie zobowiązany. Ale ciekawe, gdzie się podział ten klucz?

— Proszę o to spytać juniora — poradził pan Egg. — To zadziwiające, jak człowiek może potknąć się na takim drobiazgu. Jak mówi *Poradnik Sprzedawcy*: Dbaj o szczegóły w toku sprzedaży! Czasem i drobny ciężar przeważa.

Maher Szalał Chaszbaz

Żaden londyńczyk nie potrafi się oprzeć pokusie, jaką wywiera zbiegowisko. Pan Montague Egg, jadący w górę Kingsway, zauważył gromadę ludzi, wypatrujących czegoś w gałęziach jednego ze smukłych platanów, zdobiących tę arterię, i zatrzymał się przy krawężniku, by zobaczyć, co ich tak podnieca.

— Biedna kocina! — wołali widzowie, zachęcająco przytykając w palce. — Biedactwo! Kici, kici, kici, chodź tutaj!

— Popatrz, kochanie, jaki ładny kotek!

— Trzeba jej dać mięsa.

— Jak się zmęczy, to sama zejdzie,

— Przyłóż jej kamieniem!

— Co się tu dzieje, proszę państwa?

Szczupła i ubożuchno ubrana dziewczynka, stojąca żałośnie z pustym koszykiem w rękach, zwróciła się błagalnie do podchodzącego policjanta:

— Och, proszę, niech pan każe odejść tym ludziom! Jak on może zejść, kiedy wszyscy na niego tak krzyczą? On się boi, biedaczek.

Spośród chwiejnych gałęzi dwoje bursztynowych oczu gniewnie lyskało w dół. Policjant się podrapał po głowie.

— A to dopiero kłopot, panienko. Jakże on się tam dostał?

— Koszyk się otworzył i on wyskoczył, jak wysiadaliśmy z autobusu. Och, proszę coś poradzić!

Pan Montague Egg, rzuciwszy okiem na tłum, dostrzegł na jego peryferiach czyściciela okien z drabinami na samochodzie. Przywołał go.

— Dałbyś tę drabinę, synu, to zaraz byśmy go zdjęli, jeśli panienka mi pozwoli spróbować. Jeżeli go tak zostawimy, będzie tam tkwił nie wiadomo jak długo. „Trudno przekonać, mową choćby miłą, klienta, gdy go raz coś odstraszyło”. Tak... ostrożnie. No... to jedziemy.

— Och, bardzo panu dziękuję! Tylko proszę łagodnie. On nie lubi, żeby coś z nim robić.

— Dobrze, panienko, proszę się nie obawiać. Monty Egg wszystko robi w rękawiczkach. W domu łagodny i dba o dzieci. A teraz bomba w górę.

I pan Egg, nacinawszy swój elegancki, miękki kapelusz i wydając kojące odgłosy, uniósł się w listowie. Na widzów spadła istna eksplozja wściekłego fukania i ulewa drobnych gałązek, a po nich znów opuścił się pan Egg, trochę niezręcznie, z szamocącym się kłębkim rudego futra w garści. Dziewczynka podsunęła koszyk, wpakowano jakoś do niego cztery wściekle miotające się łapy, chłopak od dostawcy sprokurował kawałek sznurka, przywiązano nim wieczko, młody czyściciel okien dostał coś i spakował drabinę, po czym tłum się rozproszył. Pan Egg, owinawszy pokaleczony przegub chustką do nosa, wybrał sobie liście zza kołnierza i poprawił krawat.

— Och, jak on pana strasznie podrapał! — uzalała się głośno dziewczynka, a jej błękitne oczy zrobiły się wielkie i tragiczne.

— Ależ nic podobnego — odpowiedział pan Egg. — Bardzo mi przyjemnie, że mogłem pomóc. Czy mogę cię gdzieś podwieźć? Jemu będzie się jechało przyjemniej niż w autobusie, a jeżeli zamkniemy okna, to stąd nie wyskoczy, gdyby nawet udało mu się znowu otworzyć koszyk.

Dziewczynka się wymawiała, ale pan Egg stanowczo zapakował ją do samochodu i spytał, dokąd jedzie.

— Pod ten adres — odpowiedziała, wyjmując ze zniszczonej torebki wycinek z gazety. — Chyba to gdzieś na Soho?

Zaskoczony pan Egg przeczytał ogłoszenie:

POSZUKIWANY: pracowity i zdolny KOT (płci dowolnej), do łapania myszy w przyjemnej rezydencji willowej i do towarzystwa dla małżeństwa w średnim wieku. Odpowiedni kandydat uzyska 10 szylingów i porządny dom. Osobiste zgłoszenia przyjmuje pan John Doe, La Cigale Bienheureuse, Frith Street, we wtorek od 11 do 1.

— Jakaś dziwna sprawa — pan Egg ściągnął brwi.

— Ojej! pan myśli, że coś nie tak? Po prostu żart?

— No cóż — powiedział pan Egg — nie bardzo rozumiem, dlaczego ktoś miałby płacić pół funta za zwyczajnego kota? Na ogół dostaje się je gratis

i jeszcze z dostawą od takich, co nie lubią topić swoich kociąt. Także i pan John Doe nie brzmi zbyt wiarygodnie: raczej jakby tak zwana fikcja prawna.

— Och jej! — zawołała dziewczynka, a w błękitnych oczach jej pojawiły się łzy. — A tak się spodziewałam, że coś z tego będzie. Bo widzi pan, nam jest okropnie ciężko, bo tatuś nie pracuje, a Maggie — to znaczy moja macocha — powiedziała, że ma tego dość i Maher Szalał Chaszbaz ma się wynosić, bo obdrapuje nogi u stołu i żre tyle, *t* człowiek, biedactwo! — chociaż to nieprawda — najwyżej troszkę mleka i tego mięsa dla kotów — i świetnie łowi myszy, tylko że u nas ich prawie nie ma — więc pomyślałam, że gdyby znalazł się dla niego porządny dom — i dziesięć szylingów na buty dla tatusia, on ich tak potrzebuje...

— No, głowa do góry! — rzekł pan Egg. — Może chcą zainwestować w dorosłego już i sprawdzonego myszobójcę. Albo... wiesz... to może być coś do filmu! No cóż, pojedziemy tam i zobaczymy. Tylko wiesz, może lepiej będzie, jeśli ja się z tobą wybiorę i porozmawiam z tym panem Doe. Jestem człowiekiem na stanowisku — wyjaśnił z pośpiechem. — Proszę, oto moja wizytówka. Montague Egg, wojażujący przedstawiciel firmy Plummett & Rose, sprzedaż win i wódek, Piccadilly. Przeprowadzanie rozmów z klientami to moja specjalność. „Sprzedawco, masz pamiętać o utargu! Nie wychodź za drzwi, aż dobijesz targu”. Oto moja dewiza.

— A ja się nazywam Jean Maitland. Mój tatuś zajmuje się tym samym, co i pan: to znaczy zajmował się, do ubiegłej zimy, bo zachorował na bronchit i już nie ma siły podróżować.

— A to pech! — rzekł współczująco Monty i skrzywił się. — Spodobała mu się ta dziewczynka, może szesnastoletnia, i obiecał sobie, że spróbuje coś na to poradzić.

Wyglądało na to, że dla mnóstwa innych ludzi też dziesięć szylingów to jest niezła cena za kota. Na chodniku przed obskurną restauracyjką na Soho było aż gęsto od kociarzy, niektórych z koszykami, innych ze zwierzętami w objęciach. Powietrze aż się trzęsło od lamentu tych uwięzionych.

— Duża konkurencja — rzekł Monty. — Ale i to dobre, że stanowisko jeszcze, jak widać, nie obsadzone. Trzymajcie się mnie, a ja zobaczę, co się da zrobić.

Poczekali przez jakiś czas. Wyglądało na to, że interesanci wypuszczani są tylnymi drzwiami, bo choć wielu wchodziło, nikt nie wyszedł. Wreszcie zajęli miejsce w ogonku, pnącym się po obdrapanych schodach, i znów odczekawszy na nich całą wieczność, stanęli u ciemnych i niezbyt atrakcyjnych drzwi. Niebawem otworzył je tęgi mężczyzna o workowatej twarzy i nader bystrych oczkach, który z ożywieniem powiedział: — Proszę, następny! — i weszli do środka.

— Pan John Doe? — zapytał Monty.

— Tak. Czy przynieśli państwo kota? Ach, to panienki kotek! No jasne. Proszę usiąść. Nazwisko i adres panienki?

Dziewczynka podała adres na południowym brzegu Tamizy i mężczyzna go zanotował: — Na wypadek — wyjaśnił — gdyby wybrany kandydat okazał się nieodpowiedni i chciałbym do państwa napisać. A teraz proszę mi go pokazać.

Otwarto koszyk i wyrzała niezyczliwie ruda głowa.

— Istotnie. Piękny okaz.. Oho... biedna kocina! Nie zachowuje się zbyt przyjaźnie.

— To dlatego, że podróż go wystraszyła, ale jak już pozna człowieka, to jest taki milutki, a przy tym świetnie łapie myszy. I taki z niego czyścioszek.

— A, to bardzo ważne. Musi przestrzegać czystości, no i zapracować na życie, rozumie się.

— Och, na pewno! Poradzi sobie nawet ze szczurami i z każdym. Nazywamy go Maher Szalał Chaszbaz, że taki „prędko do łupu”, jak napisano w Biblii. Ale wabi się Masz... prawda, kochanie?

— Rozumiem. No cóż, jest chyba w niezłej formie. Nie ma pcheł? Ani żadnych chorób? Moja żona by tego nie zniosła.

— Och, nie! to wspaniały i zdrowy kot. Pchły... ależ proszę pana!

— Proszę się nie gniewać, ale do tego przywiązuję ogromną wagę, skoro to

ma być nasz ulubieniec. Tylko jego kolor mi się niezbyt podoba. Dziesięć szylingów za takiego rudzielca to trochę za dużo. Nie wiem, czy...

— O, przepraszam! — odezwał się Monty. — Na temat koloru nic nie było w pańskim ogłoszeniu. Ta panienska jechała kawał drogi, żeby dostarczyć panu tego kota, i nie może pan oczekiwać, że się zgodzi na cenę niższą od zaofertowanej. Nie znajdzie pan lepszego kota niż ten — powszechnie wiadomo, że rude są najlepsze do łapania myszy — mają w sobie więcej zajadłości. I niechże pan spojrzy na ten ładny, biały krawacik: po tym można od razu poznać, jaki z niego czyścioszek. A proszę wziąć pod uwagę jeszcze jedną zaletę: jego widać! Pan i szanowna małżonka nie będziecie się o niego potykać w ciemnym kącie, jak o te czarne i bure. Właściwie powinniśmy sobie doliczyć za jego piękny kolor. Rude koty są rzadsze i bardziej eleganckie od zwykłych.

— Ma pan trochę racji — przyznał pan Doe. — My się z panią tak umówimy, panno Maitland. Może pani zechce przywieźć Mahera - i jak mu tam dalej — do naszego domu dziś wieczór: i jeśli się spodoba mojej żonie, to go weźmiemy. Tu jest nasz adres. Ale proszę być punktualnie o szóstej, bo potem wychodzimy.

Monty spojrział na adres i stwierdził, że to na północnym krańcu linii z Morden do Edgware.

— To za daleko, żeby jechać tak na ryzyko — rzekł stanowczo. — Chyba że pan zwróci panie Maitland za przejazd.

— Naturalnie — zgodził się pan Doe. — To się należy. Proszę, oto pół korony. Resztę zwróci mi pani wieczorem. Cóż, dziękuję bardzo. Pani kot będzie u nas bardzo szczęśliwy, jeśli go zatrzymamy. Teraz proszę go wsadzić do koszyka. Wyjście tamtędy. Uwaga na stopień. Do widzenia.

Pan Egg i jego świeża przyjaciółka, potykając się na wyjątkowo ciasnych i dusznych schodach, prowadzących w dół i na cuchnącą uliczkę, popatrzyli na siebie.

— Ten pan wygląda raczej na oschłego — zauważyła panna Maitland. — Żeby tylko był dobry dla Maher Szalał Chasz baza! Jak pan *cudownie* mówił o tej rudości! Obawiałam się, że w tej kwestii okaże się staroświecki. Mój ty aniołku, Masz! jak może komuś nie podobać się taki piękny kolor!

— Yhm — powiedział pan Egg. — Może pan Doe jest najzupełniej w porządku, ale ja uwierzę w te dziesięć szylingów, kiedy je zobaczę. W każdym razie sama tam nie pojedziesz. O piątej po ciebie wstąpię.

— Ależ, panie Egg! Ja się na to nie mogę zgodzić. Zresztą wydusił pan z niego pół korony dla mnie na metro.

— To zwykły interes — rzekł pan Egg. — Punkt o piątej zajeżdżam po ciebie.

— To już lepiej o czwartej, żebyśmy chociaż mogli poczęstować pana herbatą. Przynajmniej tyle.

— Z przyjemnością — odpowiedział pan Egg.

Pan John Doe mieszkał w nowej, osobno stojącej willi na samym końcu nowej, nie wybrukowanej dotąd arterii przelotowej na przedmieściach. Na dzwonek otworzyła im pani Doe drobna, jakby zastraszona kobiecina o wodnistych oczach, mająca nerwowy odruch skubania palcami swych bladych warg. Maher Szalał Chaszbaz wypuszczony został z koszyka w salonie, gdzie pan Doe, usadowiony w fotelu, czytał popołudniową gazetę. Kot obwąchał go podejrzliwie, ale na nieśmiało zaloty pani Doe przynajmniej tyle złagodniał, że dał się polechtać za ucho.

— No i co, kochanie — przemówił pan Doe — nadaje się? Kolor cię nie odstrasza?

— Och, nie! to piękny kot. Bardzo mi się podoba.

— Dobrze. W takim razie bierzemy go. Panno Maitland, proszę, oto dziesięć szylingów. Pani będzie łaskawa tu pokwitować. Dziękuję. Z tej półkoronówki nie będziemy się rozliczać. No to masz, kochanie, swojego kota i spodziewam się, że to już koniec z myszami. No — spojrzał na zegarek — obawiam się, panno Maitland, że zostało pani bardzo niewiele czasu na pożegnanie się z ulubieńcem, bo już musimy wychodzić. U nas będzie mu na pewno dobrze.

Przy tych ostatnich słowach Monty, jakby od niechcienia, wyszedł taktownie do holu. Z pewnością to samo poczucie taktu sprawiło, że od drzwi salonu skierował się ku tylnej części domu. Ale już po paru minutach Jean Maitland wyszła, dzielnie siąkając w chusteczkę, odprowadzana przez panią Doe.

— Lubisz swojego kota, kochanie, prawda? Żebyś tylko się nie czuła zbyt...

— No, no, Flossie! — odezwał się mąż, pojawiając się nagle zza jej ramienia. — Panna Maitland wie, że zaopiekujemy się nim, jak należy. — i odprowadziwszy ich do wyjścia, szybko zamknął za nimi drzwi.

— Jeżeli ci to sprawia przykrość — odezwał się zakłopotany pan Egg — to możemy go raz dwa odzyskać.

— Nie, w porządku — odparła Jean. — Czy moglibyśmy jak najprędzej wsiąść i odjechać?

Kiedy podrzucało ich na nierównej drodze, pan Egg ujrzał idącego z przeciwka chłopca. W rękę niósł koszyk. Idąc głośno sobie pogwizdywał.

— Spójrz! — powiedział Monty. — Jeden z naszych nieubłaganych rywali. Ale udało się nam go wyprzedzić. „Sprzedawca, który wcześniej przybywa, sprzed nosa innym zyski porywa”. Niech to diabli! — powiedział sam do siebie, przydeptując gaz. — Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Czy na pewno?

Jakkolwiek energicznie pan Egg się przyłożył do tego, aby Maher Szalał Chaszbaz wyszedł na ludzi, nie dawało mu to jakoś spokoju. Sprawa doskwierała mu do tego stopnia, że gdy w sobotę następnego tygodnia znalazł się z powrotem w Londynie, ruszył na południowy brzeg Tamizy, aby to zbadać. A gdy Jean otwarła mu drzwi u Maitlandów, u jej boku, wyginając się w pałąk i kiwając zadartym ogonem, stał Maher Szalał Chaszbaz.

— Tak — wyjaśniła dziewczynka — znalazł drogę i wrócił, mój kochany mądrala! Dokładnie tydzień temu — okropnie wychudły i zablocony — nie wyobrażam sobie, jak to zrobił. Ale już nie mogliśmy go odesłać, no powiedz, Maggie?

— Nie — rzekła pani Maitland. — Ja wprawdzie nie lubię kotów, nigdy ich nie lubiłam, ale proszę! Widać one też mają jakieś uczucia. Tylko głupio wyszło z tymi pieniędzmi.

— No właśnie — zmartwiła się Jean. — Bo kiedy on wrócił i postanowiliśmy go zatrzymać, to ja napisałam do pana Doe, wyjaśniłam mu to i dołączyłam przekaz pocztowy na dziesięć szylingów. Otóż dzisiaj rano ten list wrócił z dopiskiem: Adresat nieznan. Więc już same nie wiemy, co zrobić?

— Ja nigdy nie wierzyłem w Johna Doe — rzekł Monty. — Według mnie to był jakiś ciemny typ, panno Maitland, i ja bym radził więcej się tym nie przejmować.

Ale dziewczynce to nie wystarczyło i niebawem uczynny pan Egg jechał

znovu na północ, w poszukiwaniu tajemniczego pana Doe, wioząc mu przekaz.

Drzwi otworzyła mu w tej samej willi porządnie ubrana, starsza niewiasta, której nie znał. Pan Egg spytał o pana Doe. — Tu nie mieszka. Nigdy o takim nie słyszałam. Monthy wyjaśnił, że poszukuje pana, co kupił kota.

— Kota? — powtórzyła kobieta. Jej twarz się zmieniła. — Proszę wejść, George! — zawołała na kogoś w domu. — Przyszedł jakiś pan w sprawie kota. Może byś mu zechciał — dalszy ciąg zdania wyszeptany został w ucho mężczyźnie, który się wynurzył z salonu i wyglądał na jej męża, którym w istocie był.

George zmierzył pana Egga uważnym spojrzeniem od stóp do głów. — Nie znam tutaj żadnego Doe — powiedział — ale jeśli pan szuka tych, co tu mieszkali, to oni się wyprowadzili. Spakowali się i czym prędzej wyjechali, jak tylko pochowano starszego pana. Ja się opiekuję domem za właścicieli. A jeżeli brakuje panu kota, no to chodź pan popatrzeć.

Przeprowadził go przez dom i tylnym wyjściem do ogrodu. Na środku jednego z klombów wykopana była wielka dziura, jak gdyby nieregularny i płytki grób. Na trawniku zaś spoczywały, ułożone w dwa makabryczne rzędy, zwłoki mnóstwa bardzo już zdechłych kotów. W pobieżnej ocenie pan Egg stwierdził, że jest ich pewnie około pięćdziesięciu.

— Jeżeli któryś z nich jest pański — rzekł George — to proszę. Ale nie są już w za dobrym stanie.

— Boże! — przemówił pan Egg, wstrząśnięty, i przypomniał sobie z przyjemnością, jak to Maher Szalał Chaszbaz powitał go, z zadartym ogonem, na progu u Maitlandów. — Chodźmy stąd i niech mi pan opowie. To... niewiarygodne!

Okazało się, że poprzedni mieszkańcy nazywali się Proctor. Było ich troje, mianowicie stary pan Proctor, inwalida, do którego należał ten dom, z bratankiem i jego żoną.

— Nie mieli służby na stałe. Jako codziennie dochodząca robiła u nich stara pani Crabbe i od niej wiem, że starszy pan nie cierpiał kotów i chorował od nich; spotykałem już takich. Z nim oczywiście trzeba było jak z jajkiem, taki był wątpliwy i serce miał słabe, w każdej chwili mogło mu wysiąść. Więc pomyśleliśmy sobie, jak znalazłem te zakopane koty, czy młody Proctor ich nie pozabijał, żeby starszy pan ich nie zobaczył, bo dla niego to mógł być szok. Tylko dziwne, że wygląda, jakby wszystkie te koty były zabite prawie w tym samym czasie i to całkiem niedawno.

Pan Egg przypomniał sobie ogłoszenie, fałszywe nazwisko, zgłaszających się, których wypuszczano tylnym wyjściem, aby żaden z nich się nie zorientował, ile kotów kupiono od ręki. Przypomniał sobie też dobitne polecenie, żeby przynieść kota punktualnie o szóstej, i pogwizdującego chłopca z koszykiem, który pojawił się w jakiś kwadrans po nich. Jeszcze coś sobie przypomniał, mianowicie to ciche pomiaukiwanie, które dobiegło jego uszu, kiedy czekał w holu, aż Jean pożegna się z Maher Szalał Chaszbazem,

i ten zatroskany wyraz twarzy pani Proctor, gdy spytała, czy Jean bardzo lubi swojego kota. Sprawiało to wrażenie, jakby młodszy pan Proctor gromadził koty w jakimś złowróżbnym celu. Zbierając je z różnych dzielnic Londynu... jak najbardziej oddalonych od siebie... po cóż by inaczej zadawał sobie trud spisywania nazwisk i adresów?

— Na co starszy pan umarł? — spytał pan Egg.

- Po prostu na serce — odpowiedziała pani George — tak powiedział lekarz. Umarł w nocy zeszłego wtorku, biedaczek, a pani Crabbe, która go ubierała do trumny, mówiła, że miał na tej biednej twarzy wyraz przerażenia, ale doktor powiedział, że przy tej chorobie, to nic dziwnego. Ale doktor nie widział, bo nie miał czasu wstąpić, taki był zajęty, jak on strasznie podrapane miał twarz i ręce. Musiał je sobie rozdrapać paznokciami w agonii, ale jak! No, ale już trudno. Wszyscy wiedzieli, że mógł byle kiedy zgasnąć, po prostu jak ta świeczka.

— To ja wiem, Sally — powiedział mąż — no, ale te zadrapania na drzwiach sypialni? Nie powiesz mi, że to także nieboszczyk. A jeżeli już on, to jak się stało, że nikt go nie usłyszał i nie przybiegł na pomoc? Może sobie gadać pan Timbs — to właściciel — że jakieś włóczęgi dostały się tu po wyjeździe Proctorów — i nas wprowadzić, żebyśmy pilnowali — ale po co włóczęgom takie bez powodu niszczenie?

— Ja mówię, że ci Proctorowie to bez serca — stwierdziła jego małżonka. — Pewnie tylko chrapali, a wuj niech sobie zdycha. A jak ten adwokat się rozgniewał! Przyszedł rano, żeby spisać ze staruszką testament, a ten nie żyje. A skoro już dostali po nim całe pieniądze, też mogliby go lepiej pochować. Po mojemu to podłe — ani kwiatka — jeden marny wieniec za pół gwinei — nawet nie dąb — tylko wiąz i te jakieś uchwyty, żeby błyszcząło. Najgorsza tandeta! Wstydziłiby się.

Pan Egg tylko milczał. Nie był on człowiekiem o bujnej wyobraźni, mimo to w myśli ujrzał dość okropny obraz. Widział chorego starca, który śpi, i czyjeś dłonie otwierające po cichu drzwi do sypialni, potem wciągające, jeden za drugim, worki, w których się coś rusza, kłębi i miauczy. Widział, jak rozwiązane worki porzucone zostają na podłodze, drzwi cichaczem zamknięte i przekreślony z zewnątrz klucz. A potem, w ledwie majaczącej poświacie lampki nocnej, zobaczył, jak niewyraźne kształty skaczą i przemykają się po sypialni — czarne i bure, i rude — tam i z powrotem, czając się na bezgłośnych łapach, głucho spadając na aksamitne stopy ze stołów i krzeseł.

A potem — w kłębek na łóżku — ogromny, rudy kot o bursztynowych ślepiach — i krzyk budzącego się — a potem ów koszmar grozy i wstępu za bezlitośnie zamkniętymi drzwiami. Bardzo stary i schorowany człowiek potykający się, bez tchu, dławi się i tłucze rękoma po tych przeraźliwych cieniach, które dopadają go i uskakują — i wreszcie rozdzierający ból w sercu, kiedy zlitowała się nad nim śmierć. A potem już tylko miauczenie kotów i skrobanie do drzwi, a za nimi nad słuchujący, z uchem przyciśniętym do dziurki od klucza.

Pan Egg otarł sobie czoło chustką; nie podobały mu się własne myśli. Ale ich nie mógł zatrzymać, patrzył dalej, jak o świcie morderca wchodzi przez uchylone drzwi — żeby czym prędzej zgarnąć swych niewinnych współuczestników zbrodni, zanim pojawi się pani Crabbe — wiedząc, że trzeba się z tym śpieszyć i zwłoki też doprowadzić do porządku — i że gdy ludzie przyjdą, nie może ich zdziwić jakieś tajemnicze miauczenie. Nie wystarczy tych kotów wypuścić — mogłyby się pętać w pobliżu domu. Nie — cysterna z deszczówką i grób zbiorowy w ogródku. Tylko że Maher Szalał Chaszbaz — wspaniały Maher Szalał Chaszbaz podjął walkę o swoje życie. Jego nie utopiają w byle cysternie! Potrafił tak wierzyć, aż się wyrwał (i mam nadzieję — pomyślał pan Egg — że poharatał go przy tym, jak się patrzy!) i dotarł przez cały Londyn aż do swego domu. Gdyby jeszcze Maher Szalał Chaszbaz mógł zeznać, czego był świadkiem! Ale pan Montague Egg też wie coś niecoś i może to zeznać.

— I zrobię to — obiecał sobie Monty, zapisując nazwisko i adres adwokata pana Proctora. Wydawało mu się, że przestraszyć starego człowieka na śmierć to również morderstwo; nie był pewien, ale postanowił sprawdzić. Zaczął szukać w myśli jakiejś krzepiącej dewizy z *Poradnika Sprzedawcy*, ale pierwszy raz w życiu nic stosownego nie mógł znaleźć.

— Widać tym razem naprawdę wychyliłem się poza obszar mego zawodu — pomyślał ze smutkiem. — A jednak... z obywatelskiego punktu widzenia...

I tutaj się uśmiechnął, bo przypomniał mu się aforyzm widniejący na początku i na końcu jego ulubionej książki: Służenie społeczeństwu jest rolą uznaną tego, kto zasługuje na sprzedawcy miano.

Cypryjska kocica

Nadzwyczaj porządny z ciebie chłop, Harringay, że przyszedłeś mnie tu odwiedzić. Doceniam to, naprawdę! Nie każdy tak znakomity adwokat zrobiłby tyle dla klienta w beznadziejnej sprawie. Chciałbym ci zaprezentować jakąś bardziej obiecującą wersję, ale słowo honoru, że mogę ci opowiedzieć tylko i dokładnie to samo, co słyszał już ode mnie Peabody. Rozumiem, oczywiście, że w ani jedno słowo nie uwierzył, i nie mam mu tego za złe. On sądzi, że powinienem wymyślić coś bardziej prawdopodobnego: i chyba umiałbym to zrobić, ale po co? Kiedy człowiek próbuje pod przysięgą zeznawać kłamstwa, i tak prawie na pewno się na czymś potknie. A ja powiem ci wyłącznie prawdę. Strzeliłem raz i tylko jeden raz, do kota! Czy to nie zabawne: wisieć za to, że zastrzeliło się kota?

Merridew i ja byliśmy zawsze najbliższymi z przyjaciół: w szkole, na uczelni i tym podobne. Nie widywaliśmy się dużo od czasu wojny, bo mieszkaliśmy na przeciwległych końcach kraju; ale spotykaliśmy się czasami w stolicy, pisywaliśmy do siebie od czasu do czasu i każdy z nas — że tak powiem — był świadom, że ten drugi gdzieś jest. Przed dwoma laty napisał, że się niedługo żeni. Właśnie mu stuknęła czterdziestka i dziewczyna była o piętnaście lat młodsza, a on strasznie w niej zakochany. Trochę mnie to rąbnęło: wiesz, jak to bywa, kiedy przyjaciele się żenią. Czuje się, że już nie będą tacy jak przedtem; a zdążyłem się przyzwyczać do myśli, że Merridew i ja stworzeni jesteśmy na starych kawalerów. Ale oczywiście posłałem mu gratulacje i prezent ślubny, i miałem szczerą nadzieję, że będzie szczęśliwy. A wpadł najwyraźniej po uszy: wydawało mi się, biorąc wszystkie okoliczności pod uwagę, że aż niebezpiecznie. Wprawdzie — poza różnicą wieku — mariaż był w zasadzie jak znalazł! Napisał mi, że ją poznał — wyobraź sobie — na przyjęciu w ogrodzie parafialnym gdzieś w Norfolk i że ona w życiu nie wyjrzała ze swojej wsi. Dosłownie! nawet tyle, co pojechać do najbliższego miasta. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby pochodziła z nieodpowiednich sfer, nic podobnego! Z jej ojca

był jakiś dziwny odludek — specjalista od średniowiecza, coś w tym rodzaju — żyjący w okropnej biedzie. Umarł niedługo potem, jak się pobrali.

Przez pierwszy rok, czy coś koło tego, nie spotkałem się z nimi. Bo widzisz, Merridew jest inżynierem, i po upływie miodowego miesiąca zabrał żonę do Liverpoolu, gdzie budował coś w porcie. Dla niej to musiała być wielka zmiana w porównaniu do dzikiego Norfolku. Ja przebywałem w Birmingham, po uszy w robocie, więc pisywaliśmy do siebie tylko czasami. W jego listach aż się przelewało — tak bym to nazwał — od nieprzytomnego szczęścia, zwłaszcza z początku. Potem jakby zaczął niepokoić go z lekka stan jej zdrowia. Nie może sobie znaleźć miejsca; życie w mieście jej nie odpowiada; więc on się nie może doczekać, kiedy skończy tę pracę w Liverpoolu i wywiezie ją z powrotem na wieś. Nie ulegało wątpliwości — rozumiesz — że są szczęśliwi; on był jej oddany duszą i ciałem, jak to mówią, i wszystko mi wskazywało na to, że z pełną wzajemnością. Chciałbym, żeby co do tego nie było cienia wątpliwości.

Żeby nie przedłużać tej opowieści — Merridew napisał do mnie z początkiem ubiegłego miesiąca, że właśnie się przenosi na nowe stanowisko ;— rozbudowa urządzeń wodnych gdzieś w Somerset — i pytał, czy nie mógłbym się wyrwać i wpaść do nich na parę tygodni. Chce się ze mną nagadać, a Felice też chciałaby mnie poznać. Wynajęli mieszkanie w wiejskiej gospodzie. Że miejsce jest oddalone od świata, ale są ryby i krajobraz, i tym podobne, a Felice miałyby dzięki mnie towarzystwo, kiedy on pracuje przy zaporze. A ponieważ mnie obrzydło już Birmingham, jego zaduch i to, i owo — a nieźle mi to wyglądał* — zresztą i tak należał mi się urlop — więc postanowiłem się tam wybrać. Miałem coś do załatwienia w stolicy, liczyłem, że mi to zajmie jakiś tydzień, więc ustaliłem, że przyjadę do Little Hexham 20 czerwca.

Moje sprawy w Londynie trwały niespodziewanie krótko, tak iż szesnastego nic już nie miałem do roboty, za to pod oknami hotelu młoty pneumatyczne i w dodatku maszynę, która bryzgała smołą, żeby było zabawniej. Pamiętasz, jaki to był upalny miesiąc? pożar czerwca i tyle! Nie miałem na co czekać, więc wysłałem do Merridew telegram, spakowałem walizkę i tegoż wieczora udałem się na pociąg do Somerset. Nie dostałem osobnego przedziału, ale trafił mi się przedział I klasy dla palących, w którym zajęte były tylko trzy miejsca, tak że z przyjemnością usadowiłem się w czwartym rogu. Jechał ze mną starszy pan o wojskowym wyglądzie, też niemłoda kobieta z mnóstwem torb i koszyków oraz młoda dziewczyna. Myślałem, że będę miał przyjemną, spokojną podróż.

I miałbym, gdyby nie jeden niefortunny szczegół w mojej naturze. Jakiś czas wszystko było w porządku -- nawet zdaje się, że na wpół zasnąłem i rozbudziłem się dopiero o wpół do siódmej — kiedy przeszedł kelner z obwieszczeniem, że już podają obiad. Inni pasażerowie go nie jedli, a wróciwszy z wagonu restauracyjnego stwierdziłem, że starszego pana już nie ma i zostały tylko dwie panie. Znowu usadowiłem się w moim kącie i po trochu, gdy tak jechaliśmy, zaczęło mnie prześladować okropne uczucie, że w przedziale znajduje się kot. Należę bowiem do tych nieszczęśników, co nie mogą znieść kotów. Nie to, żebym po prostu wolał psy! chodzi o to, że od samej obecności kota w pokoju zaczynam chodzić po ścianach. Nie umiem tego opisać, ale wydaje mi się, że sporo ludzi na to cierpi. Ktoś mi chyba mówił, że to się wiąże z elektrycznością. Czytałem, że ta niechęć bywa często wzajemna, ale nie ze mną. Do mnie te ścierwa jakby odczuwały jakieś obrzydliwe ciągoty — od razu, jak po sznureczku, prosto do moich nóg! To dziwna przypadłość, która wcale nie przysparza mi popularności u przemitych staruszek.

W każdym razie czułem się coraz i coraz okropniej, aż stwierdziłem, że to stara panna, siedząca w przeciwległym kącie po mojej stronie, musi ukrywać kota w jednym ze swych niezliczonych koszyków. Czy nie poprosić jej o wystawienie go na korytarz? a może wezwać konduktora i kazać go usunąć? ale wiedziałem, jak głupio by to zabrzmiało, więc postanowiłem zacisnąć zęby i przetrwać. Nie mógłbym twierdzić, że to bydlę jest uciążliwe, czy coś w tym rodzaju, a starsza pani wyglądała całkiem sympatycznie: czy to jej wina, że ja mam bzika na tym punkcie? Żeby zająć myśli czym innym, patrzyłem na dziewczynę.

A było na co popatrzeć.

Bardzo szczupła, ciemnowłosa, o takiej śmiertelnie białej karnacji, co kojarzy się z kwiatem magnolii. Miała też zdumiewające oczy — w życiu podobnych nie widziałem — wyjątkowo blady brąz, niemalże bursztyn, szeroko rozstawione i nieco skośne, jak gdyby świecące własnym blaskiem od wewnątrz, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Nie wiem, może to brzmi — żebyś tylko nie myślał, że mi zawróciła w głowie, czy coś — w istocie nawet mi się wcale nie podobała, choć mogę sobie wyobrazić, że jakiś inny mężczyzna mógłby dla niej oszaleć. Po prostu była niezwykła, i na tym koniec. Ale bez

względu na to, jak bym się próbował zająć czymś innym, to niemiłe uczucie prześladowało mnie, aż poddałem się i wyszedłem na korytarz. Wspominam o tym, żebyś łatwiej zrozumiał resztę. Gdybyś sobie mógł uświadomić, jak potwornie ja czuję się w obecności kota — choćby i zamkniętego w koszyku, nieważne — zrozumiałbyś, dlaczego kupiłem rewolwer.

No, więc dojechalśmy do Hexham Junction, czyli następnej stacji za Little Hexham, i tam już na peronie czekał pocziwy Merridew. Dziewczyna również wysiadła — ale starsza pani z kotem, dzięki Bogu. jechała dalej — i właśnie podawałem jej manatki, kiedy Merridew podbiegł z powitalnym okrzykiem.

— Hej! — zawołał. — To cudownie! Już zapoznaliście się? — Wtedy połąpałem się, że ta dziewczyna to pani Merridew, która wybrała się na zakupy do stolicy, i wyjaśniłem jej, że moje plany uległy zmianie — a ona powiedziała, jak to wspaniale, że mogłem przyjechać — to co zwykle. Zauważyłem wtedy, jaki ona ma urzekający, niski głos i jaki wdzięk w każdym ruchu, i zrozumiałem — choć nie podzielałem tego uczucia, podkreślałem — dlaczego Merridew tak się w niej rozkochał.

Wsiedliśmy do jego samochodu — pani Merridew z tyłu, a ja obok niego — i tak dobrze mi było czuć powietrze i pozbyć się tego dręczącego wrażenia, jakby naelektryzowania, które czułem w pociągu! Opowiedział mi, jakie to wymarzone dla nich miejsce i że Felice —jak to określił — odżyła jak nowo narodzona. Stwierdził, że on też czuje się tu świetnie; aleja pomyślałem, że wygląda raczej na ciągnącego resztkami i w nerwach.

Spodobałaby ci się ta gospoda, Harringay. Prawdziwa, staroświecka gospoda, z tych najosobliwszych, a wszystko w niej autentyczne: nie jakieś tam starocie z Tottenham Court Road. Zjedliśmy posiłek, po czym pani Merridew stwierdziła, że jest zmęczona; więc położyła się wcześniej, a Merridew i ja, wypiwszy po jednym, wybraliśmy się na przechadzkę po wiosce. To niewielka osada, położona tam, gdzie pieprz rośnie; wszyscy gaszą światła o dziesiątej; domki pokryte strzechą z okienkami strychów, nastroszonymi jak kosmate uszy, tylko pomrukują przez sen. Załoga, którą kierował Merridew, oczywiście tu nie nocowała; postawili sobie baraki przy zaporze, oddalone milę od wioski.

Gospodarz właśnie zamykał bar, kiedyśmy weszli: postawny drab o twarzy kompletnie pozbawionej wyrazu. Jego żona była chuda, z włosami jak piasek, wyglądająca na zbyt przydeptaną, aby mogła otworzyć usta. Ale później przekonałem się, że to złudzenie, bo kiedy gospodarz chlapanął sobie parę głębszych po ósmej i przejawiał jak gdyby chęć zabawienia się do późna, małżonka wyprawiła go na górę jednym gestem i spojrzeniem, od którego aż oklapł. W ten pierwszy wieczór siedziała na ganku i prawie nie spojrzała na nas, kiedyśmy ją mijali. Zawsze sprawiała jakoś niezręczne wrażenie, ale dom utrzymywała w nieskazitelnym porządku i czystości.

Dali mi wspinały pokój tuż pod nawisem okapu, z szerokim, niskim oknem wychodzącym na ogród. Wyciągnąłem się w pościeli pachnącej lawendą i usnąłem, zanim byś doliczył do dziesięciu. Rozumiesz, byłem zmęczony. Ale przebudziłem się w nocy. Było mi za gorąco, więc odrzuciłem parę koców i podszedłem do okna, żeby odetchnąć. Ogród był skąpany w świetle księżyca i ujrzałem, że na trawniku coś dziwnie wije się i skręca. Wpatrywałem się w to przez dłuższą chwilę, nim poznałem, że to dwa koty. Nie przeszkadzały mi na tę odległość, więc poprzyglądałem się im trochę, zanim wróciłem do łóżka. Kotłowały się jeden przez drugiego, uskakiwały i goniły swe cienie po trawie, zajęte swymi tajemniczymi sprawami, z powagą, jak to zwykle koty. Wyglądało to na rodzaj rytualnego tańca. Potem coś jakby je spłoszyło i pierzchły.

Położyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Nerwy miałem rozedrgane. Leżałem, patrząc w okno i nadsluchując, jak coś szeleści w liściach bujnej glicynii, pnącej się po mojej stronie domu. Potem coś upadło z miękkim tąpnięciem na parapet: był to wielki cypryjski kot.

Proszę? No, taki w szare i czarne paski. Tak, pręgowany, U nas je nazywają kotami z Cypru albo cypryjskimi. W życiu nie widziałem takiego potwora! Stał z głową przechyloną na bok, łagodnie czochrając się uszami o pion framugi.

Jasne, że nie mogłem tego znieść! Przepędziłem to bydłę, a ono się bezszelestnie wyniosło. Mimo upału zamknąłem okno na cztery spusty. Wydało mi się, że słyszę gdzieś daleko w krzakach ciche miauczenie; a potem już nic. Natychmiast usnąłem i leżałem jak kłoda, aż pokojowa przyszła mnie obudzić.

Nazajutrz Merridew zawiózł nas samochodem, żebyśmy obejrzeni miejsce, gdzie stanie zapora, i wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że nerwy Felice ciągle nie są w porządku. Pokazywał nam, gdzie odprowadzono część rzeki w bystry, wąski kanał, który miał napędzać prądnice elektrowni. Nad kanałem położono dwie deski, po których Merridew chciał nas przeprowadzić, abyśmy zobaczyli maszynę. Nie było to przejście zbyt dalekie ani też ryzykowne, lecz pani Merridew stanowczo odmówiła i wpadła w histerię, kiedy ją próbował nakłonić. W końcu poszliśmy z nim we dwóch i sami odejrzeliśmy tę maszynę. Kiedy wróciliśmy, odzyskała już równowagę i przeproszała za swe niemądre zachowanie. Merridew się oczywiście gęsto usprawiedliwiał i poczułem, że mnie tu być nie powinno. Później wytłumaczyła mi, że jako dziecko wpadła do rzeki, omal się nie utopiła i został jej po tym — jak to się mówi — uraz na tle płynącej wody. Z wyjątkiem tego drobnego incydentu nigdy nie słyszałem, w czasie mego pobytu, aby padło między nimi choć jedno ostrzejsze słowo; i przez cały tydzień nie zauważyłem niczego, co by świadczyło o najdrobniejszej skazie w kwitnącym zdrowiu pani Merridew. Co więcej! w miarę jak dzień po dniu szło na letnie przesilenie i wzmagał się upał, z ciała jej aż promieniowała żywotność. Jakby ją coś rozświeślało od wewnątrz.

Merridew ciężko pracował i nie było go całymi dniami. Uważałem, że to przesada i spytałem go, czy źle sypia. Wprost przeciwnie — odpowiedział mi — zasypia, ledwie głową dotknie poduszki, a nawet — co u niego wyjątkowe — nic mu się nie śni. Ja też czułem się całkiem dobrze, tylko rozleniwiony od upału i nieskłonny do wysiłku. Pani Merridew zabierała mnie rias długie przejażdżki samochodem. Siedziałem w nim godzinami, na wpół uśpiony od pędu ciepłego powietrza i mruczenia motoru, przyglądając się, jak ona prowadzi, wyprostowana przy kierownicy, z oczyma wpatrzonymi bez mrugnięcia w nawijającą się drogę. Zwiedziliśmy cały kraj na południe i wschód od Little Hexham, a na północ dojechaliśmy — raz czy drugi aż do Bath. Kiedyś zaproponowałem, abyśmy skęcili przez most na wschód i zapuścili się w te pięknie wyglądające okolice leśne, ale jej ten pomysł się nie spodobał; oświadczyła, że tam drogi są złe i że krajobraz po drugiej stronie rzeki nie jest wart oglądania.

W sumie spędziłem w Little Hexham przyjemny tydzień i czułbym się wspaniale, gdyby nie koty. Co noc było ich pełno w ogrodzie: ta cypryjska kocica, którą widziałem pierwszej nocy, i coś rudego i ohydny, śmierdzący czarny kocur, najbardziej z nich nieznośny, a któreś nocy jeszcze wystraszone, białe kociątko przez bitą godzinę miauczało pod moim oknem. Rzucałem w tych nieproszonych gości butami i książkami, do upadłego, ale one jakby się zmówiły na spotkania w ogrodzie gospody. Co noc było gorzej i gorzej, aż kiedyś naliczyłem piętnaście sztuk, usadowionych w krąg na tyłku, a wśród nich cypryjska kocica wykonywała swe tańce z cieniem, przelatując tam i z powrotem niby czółenko tkackie. Okno musiałem stale trzymać zamknięte, bo cypryjska kocica najwyraźniej miała zwyczaj wdrapywać się po glicynii.

Drzwi również, bo kiedy zszedłem raz po coś do salonu, wróciwszy zastałem ją na swoim łóżku, jak łapami ugniatała narzutę — prrp, prrp, prrp — z oczyma przymkniętymi w zmysłowej ekstazie. Spędziłem ją klapsami, a ona fukając na mnie uciekła w ciemny korytarz.

Zagadnąłem o nią gospodynię, która dość chłodno odparła, że w gospodzie nie ma żadnego kota — i faktycznie w porze dziennej nie zdarzyło mi się spotkać tych bestii — ale raz wieczorem, o zmierzchu, natknąłem się w jednej z przybudówek na gospodarza. Na ramieniu trzymał rudego kota i karmił go czymś wyglądającym na pokrajaną w kostki wątrobę. Wytknąłem mu, że zachęca koty do panoszenia się i poprosiłem o inny pokój, bo przeszkadza mi ta kocia muzyka po nocach. Uchyliwszy nieco szparek swych oczu wymamrotał, że spyta się żony; ale skończyło się na niczym; chyba zresztą nie mieli do wyboru innej sypialni.

A pogoda wciąż robiła się coraz to gorętsza i bardziej duszna, zbierało się na burzę z piorunami, niebo jak mosiądz i ziemia jakby z żelaza, a powietrze nad nią tak rozedrgane, aż oczy bolały od patrzenia.

Dobrze, Harringay, dobrze! staram się nie odchodzić od właściwego tematu. I niczego przed tobą nie ukrywam. Mówię ci, że moje stosunki z panią Merridew były jak najzwyczajniejsze. Pewnie, że dużo się z nią widywałem, bo — jak już mówiłem — Merridew całymi dniami nie pokazywał się w domu. Rano jechaliśmy z nim na zaporę i odstawialiśmy samochód, a później musieliśmy się wzajemnie zabawiać, w miarę swych możliwości, aż do wieczora. Jej chyba odpowiadało moje towarzystwo, a ja nie mogłem jej nie polubić. Nie powiem ci, co było tematem naszych rozmów: nic specjalnego. Felice nie była kobietą zbyt rozmowną. Przesiadywała albo leżała godzinami na słońcu, prawie nie odzywając się, tylko przeciągała się w blasku i upale. Nieraz całe popołudnie spędzała bawiąc się gałązką albo kamyczkiem, gdy ja siedziałem paląc. Spokojna? Nie. To nie... spokojną bym jej nie nazwał. Mnie w każdym razie nie napawała spokojem. Pod wieczór ożywiała się i była rozmowniej sza, zwykle jednak wcześniej się kładła i zostawiała nas obu w ogrodzie, żebyśmy sobie pogawędzili.

A! rewolwer. Tak. Kupiłem go w Bath, dokładnie w tydzień po przyjeździe do Little Hexham. Pojechaliśmy tam z samego rana i podczas gdy pani Merridew robiła jakieś zakupy dla męża, ja zacząłem szperać po antykwariatach. Chciałem kupić wiatrówkę, pistolet na groch czy coś w tym rodzaju, kiedy go zobaczyłem. Oczywiście widziałeś go. Jest malutki — w książkach pisze się o tym, że „prawie jak zabawka” — ale zabić można. Staruszek, który mi go sprzedał, chyba nie znał się za bardzo na broni palnej. Mówił mi, że przyjął go kiedyś w zastaw; i było do niego dziesięć naboń. Nie robił kwestii z pozwoleniem na broń i tym podobnych, pewnie cieszył się, że może go sprzedać, i kropka, a nie żeby jeszcze coś klientowi utrudniać. Zapewniłem go, że umiem się z tym obchodzić, i niby dla żartu napomknąłem, że chciałbym postrzelać sobie do kotów. Na to antykwariusz jakby się trochę ocknął. Był to zasuszony człeczyna o wątłej, siwej bródce i żylastej szyi. Zapytał, gdzie mieszkam. Odparłem, że w Little Hexham.

— To niech pan uważa — powiedział. — Oni tam bardzo szanują swoje koty i sądzą, że zabić coś takiego to nieszczęście. — Po czym dodał coś niezbyt zrozumiałego, coś o srebrnej kuli. Był to zramolały staruszek i jakby wahał się, czy dać mi ten zapakowany już rewolwer, ale zapewniłem go, że potrafię dbać o niego i o siebie. Kiedy odchodziłem, stał we drzwiach sklepu, tarmosząc się za bródkę i wypatrując za mną.

Tej nocy zaczęło grzmieć. Przed wieczorem niebo stało się ołowiane, ale przygaszony upał okazał się jeszcze gorszy od prażącego słońca. Państwo Merridew oboje byli rozdygotani: on posepny, kłął na pogodę i na muchy, a ona jakby dziwnie ożywiona czy podniecona. Grzmoty wywierają taki wpływ na niektórych. Ja czułem się też nieszczęśliwie, a co gorsza, ogarnęło mnie wrażenie, że dom jest pełen kotów. Nie mogłem ich wyśledzić, ale wiedziałem, że są, przyczajone gdzieś za szafą i przemykające bezgłośnie po korytarzach. Nie mogłem wytrzymać w salonie i rad uciekłem do swego pokoju. Koty nie koty, musiałem otworzyć okno i siedziałem tak w rozpiętej piżamie, usiłując odetchnąć. Ale pokój był jak miedziany piec. I czarny jak smoła. Z okna ledwie dostrzeżałem,

gdzie kończą się krzewy i zaczyna trawnik. Słyszałem jednak i czułem wszędzie te koty. Coś chwilami skrobało w pnączach glicynii, szurało wśród liści, aż około jedenastej któryś z nich przeraźliwym, ohydny wrzaskiem rozpoczął koncert. Przyłączył się następny i jeszcze następny... słowo daję, musiało ich być z pół setki. Niebawem ogarnęło mnie to wstrętne uczucie mdłości i ciarki mnie przeszły, i już wiedziałem, że któryś czai się nie opodał w mroku. Obejrzałem się gwałtownie i proszę! znowu ta cypryjska kocica! stała prawie dotykając mego ramienia, z oczyma jarzącymi się jak zielone latarki. Krzyknąłem i uderzyłem ją, a ona wrzasnęła i wyskoczyła. Słyszałem, jak buchnęła o żwir, i po całym ogrodzie znów się rozległ tym dziksz wizgot. Potem w jednej chwili zapadła cisza i w oddali zamigotał niebieski błysk, a później drugi. W pierwszym z nich ujrzałem odległy mur ogrodu, którego brzeg na całej długości obsiadły koty, kot przy kocie, jakby szlaczek w dziecinnym pokoju. W drugim rozbłysku krawędź muru znów okazała się pusta.

O drugiej spadł deszcz. Trzy godziny wcześniej siedziałem już w oknie, przyglądając się, jak bryzgają po niebie błyskawice i radując się z grzmotu. Burza jakby oczyściła me ciało z wszelkich elektrycznych zakłóceń; chciało mi się krzyczeć z podniecenia i z ulgi. Aż upadły pierwsze ciężkie krople; potem ulewa; i wreszcie istny potop. Walilo to w spiekły na żelazo ogród z hałasem, jakby się rozsypywały stalowe prety. Uniósł się odurzający zapach od ziemi, wiatr zerwał się i zaciął mnie deszczem po twarzy. Usłyszałem, że w drugim końcu korytarza ktoś z trzaskiem zamyka i rygluje okno, ale ja, wychylony w ten zgiełk, rozkoszowałem się wodą nasączającą mi włosy i ramiona. Ciągle grzmiało od czasu do czasu, ale już ciszej i dalej, i dostrzegałem niekiedy w rozbłysku białe okratowanie z wody, dzielące mnie od ogrodu.

Po którymś przetoczeniu się grzmotu usłyszałem, że ktoś puka do moich drzwi. Otworzyłem i był to Merridew. Trzymał świecę i twarz miał przerażoną.

— Felice! — wyrzucił z siebie. — Zachorowała. Nie mogę jej obudzić. Proszę cię, chodź i pomóż mi.

Pośpieszyłem za nim korytarzem. W ich pokoju stały dwa łóżka: jedno wielkie z baldachimem z purpurowego adamaszku na czterech słupach i drugie polowe, rozstawione pod oknem. To było puste, z odrzuconym przykryciem, z niego się widać zerwał. Pod baldachimem zaś leżała pani Merridew, naga, tylko nakryta prześcieradłem. Wyciągnięta na wznak; długie, czarne włosy miała splecione na ramionach. Twarz miała jak z wosku i stężała niby u trupa; a kiedy poszukałem tętna, było tak wątłe, że z początku prawie niewyczuwalne. Oddech bardzo płytki i powolny, ciało zimne. Potrząsnąłem nią, ale bez skutku. Uniosłem jej powieki i stwierdziłem, że gałki oczne są wywrócone do góry, widać tylko białka. Dotknięcie ich wrażliwej powierzchni czubkiem palca nie wywołało żadnej reakcji. Od razu pomyślałem: czy nie zażyła czegoś?

Merridew jakby uważał za konieczne jakieś wyjaśnienia. Zaczął coś bełkotać o upale — że ona może znieść tylko jedwabną koszulę nocną, nic ponadto — że prosiła go, aby spał osobno — że spał jak zabity — nawet grzmotów nie słyszał. Obudził go deszcz siekący po twarzy. Wstał i zamknął okno. Potem odezwał się do Felice, czy dobrze się czuje, czy burza jej nie przestraszyła? Nie było odpowiedzi. Zapalił światło. Przeraził się widząc jej stan... i tak dalej.

Powiedziałem mu, żeby się wziął w garść i że trzeba spróbować, czy nie przywrócimy krążenia rozcierając jej dłonie i stopy. Byłem przekonany, że to wpływ jakichś środków nasennych. Wzięliśmy się do niej energicznie, nacierając, szczypiąc i klepiąc ją wilgotnym ręcznikiem, wykrzykując jej imię do ucha. Jakbyśmy się zajmowali umarłą! z tą jedynie różnicą, że wciąż unosiła się i opadała leciutko, ale najzupełniej regularnie, jej pierś, na której — jakby ze zdziwieniem, że na tej magnoliowej bieli może być jakaś skaza — spostrzegłem tuż nad sercem duże brązowe znamię. Dla mej roztrzęsionej wyobraźni była to jakby rana i pogróżka. Tak męczyliśmy się przy niej jakiś czas, aż spostrzeżliśmy, że coś dzieje się za oknem, jakieś ukradkowe tłuczenie się i skrobanie po szybach.

Złapałem świecę i wyjrzałem.

Na parapecie siedziała cypryjska kocica, pazurami drapiąc po framudze.

Oblepiało ją przemokłe, ociekające futro, ślepią wbijała w moje oczy, pysk rozdziawiał się z furią. Usiłowała wściekle dobrać się do zamknięcia, tylne łapy jej obsuwały się, orząc po drewnie. Zakolatałem w szybę i krzyknąłem na nią, a ona uderzyła w szkło z tamtej strony, jak opętana. Gdy zakląłem i odwróciłem się, wydała rozpaczliwy, przeciągły jęk.

Merridew zawołał, że potrzebuje świecy i żebym dał spokój zwierzęciu. Wróciłem do łóżka, ale jej posepny wrzask rozlegał się i rozlegał bez ustanku. Podsunąłem mu, żeby obudził gospodarza i kazał przynieść butelki z gorącą wodą, brandy z baru na dole, wyprawić kogoś po lekarza. Merridew poszedł to załatwiać, a ja dalej stosowałem masaż. Wydawało mi się, że tętno słabnie. Wtem przypomniałem sobie, że mam buteleczkę brandy w walizce. Pobiegnąłem po nią i w tej samej chwili kot przestał wyć.

Kiedy wszedłem do swego pokoju, uderzył mnie odświeżający podmuch z otwartego okna. Znalazłem po ciemku walizkę i szukałem w niej butelki, grzebiąc w koszulach i skarpetkach, gdy nagle dobiegło mnie głośne, triumfalne miauknięcie i odwróciłem się w porę, by ujrzeć, jak cypryjska kocica przysiadła do skoku na parapecie, po czym buchnęła obok mnie w drzwi i na korytarz. Znalazłem flaszkę i wróciłem z nią w momencie, gdy Merridew i gospodarz wbiegali po schodach.

Razem wpadliśmy do pokoju. Na to pani Merridew poruszyła się, usiadła i spytała, co takiego się stało?

Chyba nigdy jeszcze nie czułem się tak głupio.

Nazajutrz ochłodziło się; burza odświeżyła powietrze. Nie wiem, co Merridew powiedział swojej żonie. Nikt z nas nie wspomniał przy innych 0 nocnym rejdach, pani Merridew zaś wydawała się być w jak najlepszym zdrowiu i nastroju. Merridew zwolnił się na jeden dzień z pracy i pojechaliśmy we trójkę na daleki piknik. Stosunki między nami były wymienite: spytaj Merridew, on to potwierdzi. Nie powiedziałby — nie mógłby powiedzieć — nic innego. Nie wierzę, Harringay, po prostu nie wierzę, aby mógł sobie coś wyobrazić czy podejrzewać mnie. Mówię, że nie było czego podejrzewać! Nic a nic.

Tak — data jest tu ważna — 24 czerwca. Nie potrafię ci podać innych szczegółów; nie ma czego. Wróciliśmy i siedli do obiadu jak zwykle. Wszyscy troje byliśmy razem, cały czas, aż do położenia się. Słowo honoru, że nie miałem tego dnia żadnej rozmowy w cztery oczy, z nim ani też z nią. Pierwszy poszedłem do łóżka i w pół godziny potem usłyszałem, że oni też wchodzą na górę. Rozmawiali sobie wesoło.

Noc była księżycowa. Raz wreszcie bez kocięj muzyki. Nawet nie zamknąłem drzwi ani okna. Rewolwer położyłem przy łóżku na krześle. Owszem, nabity. Kładąc go tam nie miałem nic specjalnego na myśli, chyba to, żeby go wypróbować na kotach, gdyby znów zaczęły swoje igraszki.

Byłem okropnie zmęczony i myślałem, że zasnę od razu; ale nie. Widocznie tak bywa z przemęczenia. Leżałem zapatrzony w światło księżyca. Aż koło północy usłyszałem to, czego na wpół się spodziewałem: skryty szmer w glicynii i cichy miauk.

Siadłem w łóżku i sięgnąłem po rewolwer. Usłyszałem: plop! gdy ogromna kocica skoczyła na parapet; dostrzegłem jej czarnosrebrzyste boki, okrągły zarys głowy, sterczące uszy i postawiony do góry ogon. Wymierzyłem w nią i dałem ognia; bestia wydała przeraźliwy wrzask i wskoczyła mi do pokoju.

Zerwałem się z łóżka. Wystrzał rozległ się straszliwie po cichym domu i usłyszałem, jak w oddaleniu ktoś krzyknął. Wybiegłem za kociskiem na korytarz, z rewolwerem w dłoni, pewnie w odruchu, żeby to bydlę wykończyć.

I wtedy — u drzwi sypialni państwa Merridew — ją zobaczyłem. Pani Merridew stała, trzymając się framugi po dwóch stronach i chwielejąc się w przód i do tyłu. Potem upadła u moich stóp. Krew zboczyła jej nagie

piersi. I kiedy tak stałem, wpatrzony w nią, ściskając rewolwer, Merridew wyszedł i tak nas zastał.

No i widzisz, Harringay, to cała moja historia! ta sarna, którą słyszał ode mnie Peabody. Obawiam się, że w sądzie to nie zabrzmii: ale co mam powiedzieć? Ślady krwi prowadziły od mojego do jej pokoju; tak jak kot przebiegł; ja wiem, że strzeliłem do kota. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie wiem, kto zastrzelił panią Merridew i dlaczego. Nic na to nie poradzę, jeżeli ci w gospodzie twierdzą, że nigdy nie widziano tam cypryjskiej kocicy! Merridew widział ją poprzedniej nocy, on przynajmniej nie skłamię. Przeszukajcie dom, Harringay! nic innego nie można zrobić. Rozbierajcie go na kawałki, aż znajdziecie w nim trupa cypryjskiej kocicy. Będzie w niej kula z mego rewolweru.

Fontanna nuci w basenie

Owszem — stwierdził z zadowoleniem pan Spiller — przyznam, że lubię ozdobne wodotryski. To daje ten ostateczny szlif porządnej rezydencji.

— Coś z Wersalu — zgodził się Ronald Proudfoot.

Pan Spiller zerknął na niego bacznie, jakby go podejrzewał o sarkazm, ale szczupła twarz tamtego była pozbawiona wyrazu. Pan Spiller nigdy nie czuł się swobodnie przy narzeczoną swej córki, chociaż dumny był z jej podboju. Niezależnie od swych niemiłych (dla pana Spillera) cech Ronald Proudfoot stanowił wzór dżentelmena. Betty zaś wpadła w niego po uszy.

— Jedyne, czego mu brakuje — podjął pan Spiller — na mój gust, to jakiegoś Podejścia. Żeby zaistniała Perspektywa, że się tak wyrażę. Bo w tych krzakach ze wszystkich czterech stron ginie cały Efekt.

— Och, nie powiedziała bym, panie Spiller — sprzeciwiła się łagodnym głosem pani Digby. — Nie uważa pan, że to fascynujące zaskoczenie? Idzie się po tej ścieżce, nie wyobrażając sobie, że coś będzie za tymi bzami, wychodzi się z za rogu i nagle... proszę! Kiedy pan mnie tu dzisiaj po południu przyprowadził, żebym to zobaczyła, doprawdy! aż dech rni zapało.

— Pewnie, że coś w tym jest — zgodził się pan Spiller. Nie pierwszy raz pomyślał sobie, że w srebrzystej osobowości pani Digby jest coś bardzo atrakcyjnego. I ta jej dystynkcja. Wdowiec i wdowa w rozsądnym wieku, oboje nie bez grosza, może by nie najgorzej zrobili, osiadając dogodnie w przyjemnym domostwie, mającym pół akra ogrodu i ozdobny wodotrysk.

— Jakież to ładne i intymne — ciągnęła pani Digby — pośród tych przepysznych rododendronów. Proszę spojrzeć, jakie one są piękne — zroszone wodą — jak baśniowe klejnoty — i ta sielska ławka na tle ciemnych cyprysów. Doprawdy jak we Włoszech. I cudowny zapach tych bzów!

Pan Spiller był świadom, że cyprysy to faktycznie cisy, ale jej nie poprawił. Z odrobiną ignorancji kobiecie do twarzy. Przeniósł spojrzenie

z jednej strony wodotrysku, gdzie rosły irgi, na drugą, gdzie kwietne baldachy rododendronów iskrzyły się od brylantowych kropli.

— Nie myślałem o naruszeniu irg czy rododendronów — oświadczył. — Chciałem tylko przeciąć się przez te zarośla bzu, aby powstał prześwit od strony domu. Ale ostatnie słowo należy do pań, nieprawdaż... ee... Ronaldzie? (Nigdy nie potrafił w naturalny sposób zwrócić się do Proudfoota po imieniu). Skoro pani się podoba, jak jest, pani Digby, to sprawa przesądzona. Nie ruszymy tych bzów.

— Pan mi pochlebia — rzekła pani Digby — ale proszę z mego powodu nie odstępować od swoich zamierzeń! Nie mam prawa ingerować w piękno pańskiego ogrodu.

— Ależ ma pani — zapewnił ją pan Spiller. — Całkowicie polegam na pani smaku. Skoro pani się wypowiedziała po stronie bzów, odtąd będą święte i nietykalne.

— A ja będę odtąd się obawiała wyrażać jakiegokolwiek opinie — rzekła, potrząsając głową, pani Digby. — Ale cokolwiek pan postanowi, jestem przekonana, że będzie ślicznie. Umieszczenie tutaj fontanny było znakomitym pomysłem. Ogród przedstawia się dzięki temu zupełnie inaczej.

Pan Spiller pomyślał, że ona ma rację. I rzeczywiście, mimo że nazwa „ozdobnych wodotrysków” była cokolwiek ponad stan jego fontanny, składającej się z marmurowej czaszy pośrodku zbiornika mierzącego jakieś cztery stopy w kwadracie, jednak spisywała się ona dzielnie, wyrzucając pióropusz rozigranej wody na wysokość niemalże pięciu metrów, ponad niskie krzewy i prawie nad wierzchołki wysokich bzów. A jej orzeźwiający plusk i ciurkanie mile kołysało ucho w ten przyjemny dzień wczesnego lata.

— To musi sporo kosztować, co? — zapytał pan Gooch. Do tej pory milczał i pani Digby uznała jego wypowiedź za świadectwo dość obrzydliwego stosunku do życia. Od pierwszej chwili, kiedy przedstawiono jej pana Goocha, uznała go za człowieka nader pospolitego i dziwiło ją, że jest taki spoufalony z gospodarzem.

— Nie, skądże — odrzekł pan Spiller. — To wcale niedrogie. Bo używa w kółko tej samej wody. Bardzo pomysłowe. Fontanny na Trafalgar Square, o ile mi wiadomo, działają na podobnej zasadzie. Pewnie, że jej zainstalowanie trochę mnie kosztowało, sądzę jednak, że było tego warte.

— Ależ naturalnie — odrzekła pani Digby.

— Zawsze mówiłem, że ty się ciepło trzymasz, Spiller — rzekł pan Gooch i zaśmiał się wulgarnie. — Chciałbym być w twojej skórze. Przytulny masz tu kącik. Całkiem przytulny.

- Milionerem nie jestem — rzekł pan Spiller, trochę opryskliwie. — Ale mogłoby mi się gorzej powodzić, jak na te czasy. Oczywiście — dodał już weselej — trzeba uważać. Na przykład na noc wyłączam fontannę, aby uniknąć wycieków i marnotrawstwa.

- Przysięgłbym, że to robisz, ty stary kutwo — zawołał obelżywie pan Gooch.

Rozlegający się w oddali gong zaoszczędził panu Spillerowi odpowiedzi.

— O! już obiad -- obwieścił tonem wyrażającym ulgę. Towarzystwo wydostało się spomiędzy bżów i ruszyło niespiesznie długim, fantazyjnie wykładanym chodnikiem, mijając trawiaste rabatki i dwie podłużne grzędy nie przycinanych, zaopatrzonych w etykiety różyczek, ku odrobionej na wysoki połysk willi, której pan Spiller nadał miano: La Merveilleuse.

Pani Digby odniosła wrażenie, że atmosfera przy obiedzie jest nieco napięta, chociaż Betty, śliczna jak obrazek i bardzo zakochana w swoim Ronaldzie Proudfootcie, była zachwycająca w roli pani domu. Zgrzyt wprowadzał obecnością swoją pan Gooch. Jadł zbyt hałaśliwie, pił bez umiaru, działał Proudfootowi na nerwy, a do pana Spillera odnosił się z zawołaną impertynencją, której żenująco i przykro było słuchać. Znów zadała sobie pytanie, skąd on się tu wziął i dlaczego pan Spiller go toleruje. Mało o nim wiedziała, poza tym, że zjawia się czasami w La Merveilleuse i spędza tu około miesiąca, a pieniędzy mu raczej nie brakuje. Tłukło jej się po głowie, że to jakiś agent handlowy, choć nie pamiętała, czy ktoś to wyraźnie powiedział. Pan Spiller osiadł tu około trzech lat temu i od razu go polubiła. Nie był wprawdzie człowiekiem wielkiej kultury, w żadnym tego słowa znaczeniu, był jednak łagodny, hojny i bezpretensjonalny, i wzruszająco oddany swej córce. Pan Gooch zaczął się pokazywać w rok później. Pani Digby obiecała sobie, że gdyby kiedykolwiek zyskała prawo decydowania o czymkolwiek w La Merveilleuse — a zaczęła podejrzewać, że sprawy jak gdyby zmierzają w tym kierunku — to użyje swego wpływu, aby pozbyć się pana Goocha.

Co byśmy powiedzieli na brydżyka? — podsunął Ronald Proudfoot, gdy już podano kawę. Jakie to miłe, pomyślała pani Digby, kiedy kawę podaje służący! Masters nie był wprawdzie lokajem wysokiej klasy, za to łączył te obowiązki z funkcją szofera. Przyjemnie byłoby żyć w La Merveilleuse!

Z okna jadalni widziała porządną garaż, mieszczący w sobie limuzynę marki Wolseley, z mieszkaniem dla szofera na piętrze i ładną, połączoną chorągiewką od wiatru, błyskającą na szczycie w ostatnich promieniach słońca. Dobra kucharka, elegancka pokojówka i wszystko, jak tylko można sobie wymarzyć... Gdyby wyszła za pana Spillera, byłoby ją stać, pierwszy raz w życiu, także i na własną pokojówkę. Miejsca w domu by nie zabrakło... i oczywiście, gdy Betty wyjdzie za mąż...

Betty nie jest zachwycona, pomyślała, że Ronald zaproponował brydża. Ta gra niezbyt się nadaje do wyrażania tkliwych uczuć i może byłoby stosowniej, gdyby Ronald wyciągnął Betty na dwór, gdzie mogliby usiąść o zmierzchu w zapachu bżów, pod cisowym żywopłotem u fontanny... Pani Digby obawiała się niekiedy, że z nich dwojga Betty jest bardziej zakochana. Ale jeżeli Ronald czegoś chce, to mu się należy, oczywiście! pani Digby zaś nade wszystko lubiła — jeśli o nią chodzi — spokojnego roberka. I w dodatku była to szansa pozbycia się pana Goocha. — W brydża nie gram — zwykł mówić pan Gooch. — Nie miałem kiedy się nauczyć. Tam, gdzie ją się chowałem, nie grali w brydża. — Teraz też wygłosił tę uwagę i zakończył ją pogardliwym czmychnięciem na pana Spillera.

— Nigdy nie jest za późno — rzekł tamten pojednawczo.

— To nie dla mnie! — odwarknął pan Gooch. — Ja posiedzę w ogródku. Gdzie ten Masters? Powiedz, żeby mi przyniósł whisky i sodę pod fontanię. Ale pamiętaj, karafkę! Jeden głębszy to dla mnie tyle co splunąć. — Zanurzył grube łąpsko w pudełku cygar Corona, z boku na osobnym stoliku, wyjął ich garść i wyszedł przez drzwi balkonowe z biblioteki na taras. Pan Spiller zadzwonił i wydał polecenie, bez komentarzy; po chwili ujrzano, jak Masters drepce wzdłuż fantazyjnie pstrokatej ścieżki między grządkami róż i trawiastymi rabatami, niosąc na tacy karafkę whisky i syfon.

Czwórka pozostałych grała do dziesiątej trzydzieści, kiedy dograno robra i pani Digby wstała, mówiąc, że na nią już pora. Gospodarz kurtuazyjnie ofiarował się, że ją odprowadzi. — Tych dwoje poradzi sobie przez jakiś czas bez naszego towarzystwa — dodał z konspiracyjnym uśmiechem.

— Młodzi zawsze radzą sobie, w dzisiejszych czasach, lepiej od starszych! — Zaśmiała się nieco wstydliwie i nie sprzeciwiała się, gdy pan Spiller włożył sobie jej dłoń pod ramię, aby przejść te sto jardów do jej domku. Zawahała się chwilę, czy go nie zaprosić, ale zdecydowała, że do jej stylu pasuje miła przystojność. Wyciągnęła do niego miękką dłoń w pierścionkach ponad białą furteczką. Uścisk jego palców się przedłużył - ucałowałby tę dłoń, tak zdradliwie pachniał czerwony i biały głóg w jej wypiełgnowanym ogródku — ale zanim się zebrał na odwagę, ona wysunęła dłoń z jego uścisku i znikła.

Kiedy w miłym rozmarzeniu otwierał frontowe drzwi swego domu, trafił na Mastersa.

— Gdzie się wszyscy podziali, Masters?

- Pan Proudfoot wyszedł pięć albo dziesięć minut temu, a panna Elizabeth się położyła, proszę pana.

- O! — pan Spiller był nieco zaskoczony. Młode pokolenie, pomyślał ze smutkiem, nie uprawia zalotów jak niegdyś. Miał nadzieję, że się nie pokłócili. Z irytacją pomyślał jeszcze o czymś.

— Czy pan Gooch wrócił?

— Nie wiem, proszę pana. Czy mam zobaczyć?

— Mniejsza o to. — Jeśli Gooch zalewał się whisky od samego obiadu, lepiej, żeby Masters się do niego nie zbliżał. Nigdy nic nie wiadomo. Masters to cicha woda, ale mógłby wykorzystać okazję. Służbie lepiej nie dowierzać.

— Kładź się spać. Ja sam pozamykam.

— Tak jest.

— A, nawiasem mówiąc, fontanna wyłączona?

— Tak jest, proszę pana. Sam ją wyłączyłem o wpół do jedenastej, ponieważ pan był zajęty.

— To świetnie. Dobranoc, Masters.

— Dobranoc panu.

Usłyszał, jak służący wychodzi tylnymi drzwiami i przez brukowane podwórce do garażu. Zarygłował w zadumie oba wejścia i wrócił do biblioteki. Karafka z whisky nie stała na zwykłym miejscu — z pewnością Gooch raczył się z niej w ogrodzie — ale zmieszał sobie trochę brandy z wodą sodową i wypił. Teraz pewnie czeka go ten przykry wysiłek, żeby Goocha zataszczyć do łóżka. Potem nagle uświadomił sobie, że ich spotkanie odbędzie się tu, a nie w ogrodzie. Gooch wynurzył się z drzwi balkonowych. Był pijany, ale nie w sztok, jak zauważył z ulgą pan Spiller.

— No? — odezwał się Gooch?

— Co no? — odpowiedział pan Spiller.

— Zabawiłeś się z ciepłą wdówką, co? Fajnie było? Ty stary szczęściarzu! Miękniez na stare lata, co?

— No, dość tego — powiedział pan Spiller.

— Tak? A to dobre. Co ty mnie nie powiesz. Dość, powiadasz? Zdaje ci się, że będziesz do mnie gadał jak do tego fagasa, jak do Mastersa? — Pan Gooch grubo'zarechotał. — Aleja nie jestem tu za fagasa. Ja tu jestem pan! Wbij to sobie do głupiego łba. Ja tu rządę i masz o tym pamiętać.

— W porządku — rzekł potulnie pan Spiller — ale teraz do łóżka, no! i bądź grzeczny. Robi się późno i ja jestem zmęczony.

— Ja ci zrobię, że będziesz mocniej zmęczony! — Pan Gooch wbił ręce w kieszenie i stał, zwalista i groźna postać, chwając się dość ryzykownie. — Forsy mi zabrakło — dorzucił. — Miałem niedobry tydzień. Spłukałem się. Odpalisz mi trochę.

— Bzdura — ożywił się nieco pan Spiller. — Wyplacam ci regularnie, tak jak była umowa, i jak ci potrzeba, zawsze możesz się tu zatrzymać. Na więcej nie licz.

— Ach, to tak? Nie za bardzo się przypadkiem nadymasz, ty, dziobany numerku 413-2, co?

— Pst! — szepnął pan Spiller, rozglądając się prędko, jakby meble posiadały uszy i język.

— Pst! pst! — przedrzeźnił go pan Gooch. — Akurat jesteś w sytuacji, żeby dyktować warunki, co, 413-2? Pst! bo służba może usłyszeć! Betty może usłyszeć! Narzeczony Betty może usłyszeć. Ha! Jej narzeczony — on by się najbardziej ucieszył, że tatuś ukochanej Betty uciekł z więzienia — co? Że w każdej chwili można go zgarnąć, żeby odsiedział swoje dziesięć lat za fałszerstwo? A jak sobie pomyślę — dodał pan Gooch — że taki jak ja, co niedużo dostał i uczciwie swoje odsiedział, jest na łaskawym chlebie — ha ha! — u takiego jak mój kochany przyjaciel 413-2, który się tarza w bogactwie...

— Wcale się nie tarzam w bogactwie, Sam — rzekł pan Spiller — i ty doskonale wiesz o tym. Ale nie chcę kłopotów. Zrobię, co będę mógł, tylko mi uczciwie obiecaj, że nie będziesz mnie więcej prosił o te wygórowane sumy, bo moich dochodów na to nie starczy.

— Czemu nie, mogę ci obiecać — zgodził się radośnie pan Gooch. — Dasz mi pięć tysięcy gotówką...

Pan Spiller wydał zdławiony okrzyk.

— Pięć tysięcy? A jak ty sobie wyobrażasz, skąd ja wezmę nagle pięć tysięcy? Nie bądź idiotą, Sam! Dostaniesz ode mnie czek na pięćset funtów...

- Pięć tysięcy — uparł się pan Gooch — albo idzie bomba w górę i koniec.
— Kiedy ja ich nie mam — zaprostestował pan Spiller.
— No to je, do ciężkiej cholery, weźmiesz i znajdziesz — zareplikował pan Gooch.

— A gdzie według ciebie mam je znaleźć?

— Twoja sprawa. Nie bądź taki rozrzutny. Żeby porządną forszę, co się mnie należy, wyrzucać na jakieś fontanny i różne takie duperele! Nie, szanowny panie 413-2, ty mi nie podskakuj! Ja tu rządę, a ty leżysz, pętaku, jak nie będziesz się o mnie należycie troszczył. Zrozumiano?

Pan Spiller aż za dobrze rozumiał. Że jego przyjaciel Gooch, co zresztą już od dawna rozumiał, trzyma go za gardło. Jeszcze raz próbował się z nim słabo wyklócać, na co pan Gooch odpowiedział rechotem i plugawą aluzją do pani Digby.

Pan Spiller nie był świadom siły swojego ciosu. Nawet nie bardzo sobie uświadamiał, że uderzył. Wydawało mu się, że chciał uderzyć, a Gooch się uchylił i potknął o nogę jakiegoś stołu. Zresztą w ogóle nie uświadamiał sobie jasno niczego, z jednym wyjątkiem. Że Gooch nie żyje.

Nie zemdłał. Nie był ogłuszony. Był trupem. Widocznie padając uderzył się o krawędź mosiężnej osłony kominka. Nie było krwi, ale obmacując bezwładną głowę trwożnymi palcami pan Spiller znalazł miejsce ponad skronią, gdzie kość ustępowała pod naciskiem jak rozbita skorupka od jajka. Hałas upadku rozległ się jak grzmot. Klęcząc na podłodze w bibliotece, pan Spiller czekał na nieunikniony okrzyk i kroki zbiegające po schodach.

Nic takiego nie nastąpiło. Przypomniawszy sobie — z trudem, bo umysł jego pracował powoli i drętwą — że nad biblioteką jest tylko długi salon, a za nim pokój zapasowy i łazienki. Żadna używana sypialnia nie wychodziła na tę stronę domu.

Wzdrygnął się na powolny, ochrypły, zgrzytliwy odgłos. Aż go odwróciło w popłochu. Staroświecki zegar szafkowy, rżąc, ilekroć młoteczek się wznosił do uderzenia, wybił jedenastą. Pan Spiller otarł pot z czoła, wstał i nalał sobie drugi, mniej rozwodniony kieliszek brandy.

To mu pomogło. Jakby odhamowało umysł i kółka w nim zaczęły się żwawo obracać. W miejsce poprzedniego zamętu pojawiła się niezwykła jasność myślenia.

Zamordował Goocha. Właściwie nie miał takiego zamiaru, ale zrobił to. Osobiście nie miał poczucia, że to morderstwo, ale nie było cienia wątpliwości, jak to potraktuje policja. A gdyby się tylko znalazł w rękach policji... pan Spiller zdrzął. Prawie na pewno wzięliby mu odciski palców i ze zdziwieniem rozpoznaliby w nich garstkę starych znajomków.

Mastersowi powiedział, że zaczeka na Goocha. Masters wiedział, że oprócz niego wszyscy już poszli spać. Masters się na pewno czegoś domyśli... Zaraz!

A czy Masters może udowodnić, że poszedł do łóżka? Owszem, chyba mógłby. Okazałoby się, że ktoś go słyszał idącego przez podwórze i widział, jak nad garażem się zapala światło. Nie sposób liczyć, że udałoby się skierować podejrzenie na Mastersa... zresztą człowiek na to nie zasługuje. Ale sam pomysł naprowadził mózg pana Spillera na inny i kuszący tok myślenia.

W gruncie rzeczy potrzebuje tylko alibi. Wystarczyłoby zmylić policję co do czasu, kiedy Gooch umarł. Gdyby się udało sprawić... jakimś sposobem... wrażenie, że Gooch jeszcze żył, kiedy faktycznie był martwy.

Powrócił myślami do powieści, czytanych podczas świąt i obracających się wokół tego właśnie tematu. Można przebrać się za nieboszczyka i udawać go. Można zatelefonować w jego imieniu. Można, kiedy lokaj to słyszy, rozmawiać ze zmarłym, jak gdyby żył. Albo nagrać jego głos na płycie i odtworzyć. Albo ukryć zwłoki, a potem wysłać z odległej miejscowości sfałszowany list z jego podpisem...

To go zastopowało... Falszerstwo... do tego nie chciałby wracać. A wszystkie te rzeczy są zbyt skomplikowane lub z innych przyczyn niewykonalne o tej godzinie nocnej.

Aż nagle uświadomił sobie własną głupotę. Nie musi sprawić, żeby Gooch dłużej był żywy, tylko żeby wcześniej był nieżywy. Powinien był umrzeć przed wpół do jedenastej, w czasie, kiedy pan Spiller w obecności trojga świadków grał w brydża.

Jak dotąd idea była słuszna i nawet — w ogólnych zarysach — oczywista. Ale jak będzie ze szczegółami? Jak ustalić czas śmierci? Czy coś wydarzyło się o wpół do jedenastej?

Nalał sobie jeszcze jednego i raptem, jakby mu się zapalił reflektor, ujrzał przed sobą cały plan, żywo i ostro nakreślony we wszystkich złączach i szczegółach.

Spojrzał na zegarek: wskazówki stały na jedenastej dwadzieścia. Cała noc była do jego rozporządzenia.

Wziął z holu elektryczną latarkę i wyszedł śmiało przez drzwi balkonowe. Tuż za nimi, na ścianie budynku, znajdowały się dwa kurki, jeden z zakończeniem do węża ogrodowego, a drugi od fontanny w głębi ogrodu. Ten kurek odkręcił, a potem, nawet nie starając się cicho stąpać, poszedł fantazyjnie wykładanym chodnikiem aż do gęstwiny bzów i okrążył ją z tej strony, gdzie rosły irgi. Mimo tak pięknego wieczoru niebo stało się czarne i prawie nie mógł dojrzeć bladej, wysoko tryskającej wody ponad ciemnymi zaroślami, ale słyszał jej krzepiący plusk i ciurkanie, a gdy wszedł na otaczający trawnik, poczuł, jak wilgotna mgielka mu wionęła w twarz. W blasku latarki ukazała się ławka pod cisami i na niej, jak przewidywał, taca z karafką whisky, napelnioną mniej więcej do połowy. Wylał jej większość do basenu, szyjkę owinąwszy chusteczką, żeby nie zostawić odcisków. Następnie, wróciwszy na drugą stronę bzów, upewnił się, że pióropusza fontanny nie widać z domu ani z ogrodu.

Następny etap wcale mu się nie podobał. Istniało ryzyko, że ktoś go usłyszy; co więcej, chciał, żeby go usłyszano, jeśli to konieczne; niemniej było to ryzykowne. Obliznął wyschnięte wargi i zawołał zmarłego po nazwisku:

— Gooch! Gooch!

Nie było odpowiedzi, jedynie plusk fontanny, dla jego trwoźnych uszu przeraźliwie głośny w tej ciszy. Rozejrzał się, prawie jakby się spodziewał, że trup wykuszyka na niego z ciemności, z głową obwisłą i opadłą szczęką, ukazującą blade połysk uzębienia. Potem, wzięwszy się w garść, poszedł w pośpiechu ścieżką i pod domem znów nasłuchiwał. Nic się nie poruszyło, nic nie było słychać prócz tykania zegarów. Przymknął ostrożnie drzwi biblioteki. Odtąd już musiała być cisza.

Z garderoby obok spiżarni wziął kalosze. Nałożył je i znów wymknął się jak cień przez drzwi balkonowe, a potem wokół domu i na podwórze. Spojrzał na garaż, ale nie świeciło się tam na piętrze, więc odetchnął z ulgą, bo Mastersowi zdarzało się długo nie spać. Dotarł po omacku do przybudówki i poświecił sobie latarką. Kilka lat przed śmiercią jego żona nie mogła już chodzić; przywiózł do La Merveilleuse jej fotel inwalidzki, bo mglisty jakiś sentyment nie dał mu się go pozbyć. Teraz dziękował za to Bogu; jak i za to, że kupił go w dobrej firmie i że fotel sunął tak leciutko i cicho na swych oponach. Znalazł pompkę od roweru i nadmuchał je do twardości, a na wszelki wypadek wpuścił jeszcze tu i ówdzie kroplę oleju. Potem, nadzwyczaj ostrożnie, przetoczył fotel wokół domu pod okno biblioteki. Co za szczęście, że kazał wszędzie położyć płyty i ten fantazyjny chodnik! tak że nigdzie nie mógł zostać ślad opon.

Mało nie skonał, wynosząc ciało przez okno i na fotel. Gooch był zwalistym mężczyzną, a on w nie za dobrej kondycji. Wreszcie się z tym uporał. Tłumiąc odruch, żeby puścić się biegiem, pchał ten ciężar ostrożnie i równo po wąskim chodniku. Słabo widział, a bał się za często używać latarki. Osunięcie się z chodnika na którąś z rabatek byłoby fatalne; zacisnął zęby i patrzył wprost przed siebie. Miał wrażenie, że gdyby się odwrócił i spojrzał na dom, ujrzalby górne okna pełne białych, wypatrujących twarzy. Czuł prawie nieodparty impuls, żeby odwrócić głowę, ale się zawziął, że nie spojrzy do tyłu.

Wreszcie skręcił za gęstwinę bzów i stał się niewidoczny od strony domu. Pot ściekał mu po twarzy, a najgorsze miał jeszcze przed sobą. Choćby mu serce pękło z wysiłku, musi przenieść trupa przez trawnik. Nie mogą na nim pozostać ślady kół, obcasów ani ciągnięcia po ziemi, które by wypatrzyła policja. Zebrał się w sobie do najcięższego wysiłku.

Udało się.

Gooch leżał teraz przy fontannie, jego zgruchotana skroń była umieszczona starannie na kamiennej, ostrej krawędzi basenu, jedna dłoń zanurzona w wodzie, członki rozrzucone jak najnaturalniej, aby wyglądało, że się potknął i upadł. Zwłoki jego, od stóp do głów, spryskiwała bijąca fontanna, tańcząc i chyląc się od nocnego wiatru. Pan Spiller obejrzał swe dzieło i widział, iż było dobre. Powrót z lekkim fotelem nie nastąpił trudności. Kiedy odstawił go do przybudówki i

wszedł ostatni raz przez okno do biblioteki, poczuł, jakby mu się brzemień lat obsunęło z ramion.

Skoro już mowa o ramionach! Kiedy schylał się pod mżawką fontanny, nie zapomniał o zdjęciu zakietu, więc przemokła mu jedynie koszula. Wrzucił ją do kosza na brudną bieliznę. Zaniepokoiło go tylko siedzenie spodni. Osuszył się, ile tylko mógł, chusteczką. Potem zaczął obliczać. Jeśli zostawi fontannę włączoną mniej więcej na godzinę, to chyba osiągnie właściwy efekt. Z trudem panując nad niecierpliwością usiadł i zmieszał sobie ostatni kieliszek brandy.

O pierwszej wstał, wyłączył fontannę, zamknął balkonowe okno biblioteki tak mocno i głośno, jak zwykle, nie mniej i nie bardziej, i pewnym krokiem udał się na spoczynek.

Inspektor Frampton, ku zadowoleniu pana Spillera, okazał się policjantem nader inteligentnym. Wywęszył zostawione mu poszlaki z gorliwością wyszkolonego teriera. Denata widział po raz ostatni żywego Masters, po obiedzie, koło ósmej trzydzieści. Po czym reszta towarzystwa grała w brydża do 10.30. Następnie pan Spiller odprowadził panią Digby. Zaraz po jego wyjściu Masters wyłączył fontannę. Pan Proudfoot wyszedł o 10.40, po czym panna Spiller i służąca udały się na spoczynek. Pan Spiller wrócił około 10.45 lub 10.50 i pytał o pana Goocha. Następnie Masters udał się do garażu, a drzwi pozamykać miał pan Spiller. Nieco później pan Spiller zszedł do ogrodu w poszukiwaniu pana Goocha. Doszedł tylko do bzów, gdzie zawołał go i nie słysząc odpowiedzi wywnioskował, że gość już wrócił i też udał się na spoczynek. Służącej wydaje się, że słyszała, jak wołał Goocha po nazwisku. Według niej mogło to być o wpół do dwunastej, na pewno nie później. Następnie pan Spiller siedział i czytał w bibliotece do pierwszej, po czym zamknął okno i też udał się na spoczynek.

Ciało, gdy je ogrodnik znalazł o 6.30 rano, było jeszcze mokre od fontanny, która nawilżyła też okoliczny trawnik. Ponieważ fontannę wyłączono o 10.30, znaczy to, że Gooch musiał leżeć tam dość długo już przedtem. Ze względu na dużą ilość whisky, którą wypił, jest prawdopodobne, że serce go zawiodło albo potknął się po pijanemu i padając uderzył głową o krawędź basenu. Wszystkie te okoliczności pozwoliły ustalić, że śmierć nastąpiła między godziną 9.30 a dziesiątą; z którą to opinią zgodził się również doktor, z zastrzeżeniem, iż mógłby to stwierdzić jedynie z tolerancją wynoszącą około godziny; i koroner wydał werdykt o śmierci na skutek przypadku.

Jedynie ten, kto przez długie lata był ofiarą szantażu i nic na to nie mógł poradzić, w pełni pojąłby uczucia pana Spillera. Nie grały w nich żadnej roli skrupuły; ulga była zbyt wielka. Pozbyć się codziennej udręki, jaką niesła obecność Goocha — jego nie kończące się żądania pieniędzy — wieczna groźba jego pijackiej złośliwości — te korzyści warte były morderstwa. A przy tym - - wmawiał sobie pan Spiller, siedząc w zadumie na sielskiej ławce opodal fontanny — nie było to w istocie morderstwo. Zdecydował się, że złoży po południu wizytę pani Digby. Teraz już mógł ją poprosić o rękę bez doskwierającego lęku o przyszłość. Zapach bzów był odurzający.

— Przepraszam pana — rzekł Masters.

Pan Spiller, odrywając zadumane spojrzenie od tryskającej wody, spojrzał pytająco na Mastersa, który stał przy nim w postawie pełnej szacunku.

— Gdyby pan się zgodził, proszę pana, chciałbym zmienić sypialnię. Pragnąłbym sypiać w domu.

— Tak? — zdziwił się pan Spiller. — A dlaczego?

- Bo ja mam bardzo lekki sen, proszę pana, od czasu wojny, i bardzo mi przeszkadza skrzypienie chorągiewki od wiatru.

— A to ona skrzypi?

— Tak, proszę pana. Tej nocy, kiedy pan Gooch padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku, wiatr zmienił kierunek piętnaście po jedenastej. Skrzypienie chorągiewki wyrwało mnie z pierwszego snu i bardzo mi to podziało na nerwy.

Pan Spiller poczuł raptem chłód w żołądku. Wzrok służącego dziwnie mu w tej chwili przypomniał Goocha. Nigdy przedtem nie zauważył tego podobieństwa.

- To dziwne, proszę pana, jeśli wolno mi tak powiedzieć, że fontanna tak przemoczyła zwłoki pana Goocha, skoro wiatr zmienił kierunek o 11.15. Przecież do 11.15 mżawka z fontanny padała na drugą stronę. Mogłoby to, proszę pana,

stwarzać wrażenie, że ciało umieszczono tam po godzinie 11.15 i ponownie włączono fontannę.

— Bardzo to dziwne — rzekł pan Spiller. Z drugiej strony bżów słyszał dolatujące głosy Betty i Ronalda Proudfoota, jak sobie gawędzą, przechadzając się między rabatkami. Byli chyba szczęśliwi. Cały dom wydawał się teraz szczęśliwszy, kiedy nie było w nim Goocha.

— W rzeczy samej dziwne, proszę pana. Pragnąłbym dodać, że po wysłuchaniu spostrzeżeń inspektora nie omieszkałem wysuszyć pana zamoczonych spodni od garnituru, schowanych do bieliźniarki w łazience.

— Ach tak — rzekł pan Spiller.

— Oczywiście nie mam zamiaru informować władz o tym, że wiatr się zmienił, a teraz, już po werdykcie, nie wydaje się prawdopodobne, aby komuś to przyszło do głowy, chyba że ktoś im na to zwróci uwagę. Spodziewam się, proszę pana, że biorąc to wszystko pod rozwagę uzna pan, iż warto mnie zatrzymać na stałe z pensją wynoszącą na początek, przypuśćmy dwa razy więcej niż dotąd?

Pan Spiller otworzył usta, żeby powiedzieć: — Wynoś się do diabła! — i głosu mu zabrakło. Pochylił głowę.

— Jestem panu ogromnie wdzięczny — rzekł Masters i po cichutku odszedł.

Pan Spiller popatrzył na fontannę, której wysoki pióropusz chwiał się i pochylał na wietrze.

— Pomysłowe — wymamrotał bezmyślnie — i prawie nic nie kosztuje. Używa w kółko jednej i tej samej wody.

SPIS RZECZY

Człowiek, który znał sposób.	
Falszywy ciężarek	
Maher Szalał Chaszbaz	
Cypryjska kocica	
Fontanna nuci w basenie	

Dygitizował Bodziokb